

Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie.

~~3~~

~~D~~

~~V~~

~~12-2~~

316 52 15

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 6.

Trzy nowelle



Eliza Orzeszkowa

Elizy Orzeszkowej

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego

Cena 25 kop.

W prenumeracie 19¹/₄ k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

TRZY NOWELLE.

3165215

Eliza Orzeszkowa.

TRZY NOWELLE

- 1) A... B... C...
- 2) W Zimowy Wieczór.
- 3) Dobra Pani.



1000174389



WARSZAWA.
Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego
47. Nowy-Świat, 47.

A-18876

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

Literat. 13a

K 1160/56/5642

Trzy Nowelle Elizy Orzeszkowej.

Talent Elizy Orzeszkowej rozwijał się od samego początku w dwóch kierunkach: w społeczno-tendencyjnym i czysto-artystycznym. Jako pisarka społeczna, wcielała autorka „Meira Ezofowicza“ przez szereg lat ideały t. zw. liberalizmu mieszczańskiego, broniła żydów, zalecała handel, przemysł, zachwycała się naukami przyrodniczymi, podkreślała swoje „trzeźwe“ przekonania i poglądy wyraźnie i rozmyślnie. Kierunek ten przeważał w pierwszej połowie jej działalności autorskiej.

W miarę jednak, jak talent Orzeszkowej dojrzywał, jak się rozszerzał zakres jej obserwacji i rosła świadomość artystyczna, usuwała się w jej dziełach tendencyjność stopniowo na plan drugi. Publicystka stawała się z każdą nową książką coraz więcej artystką. Sprawy chwili bieżącej ustępowały miejsca tematom ogólnoludzkim, nie ulegającym wpływowi czasu.

Z trzech nowel, zawartych w tym tomie, należy pierwsza („A... B... C...“) do grupy społecznej dzieł Orzeszkowej.

W wielkiem mieście, wielkich Niemiec, Joanna Lipska codziennie przechodziła około wielkiego gmachu. Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami wielkich, jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiedą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie posiadając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem.

A jednak zasiadła czysta, jak kropla rosy, dziewczyna na ławie oskarżonych. Chcąc pomódz bratu, kanceliście w landraturze niemieckiej, („landrat“ odpowiada naczelnikowi powiatu), uczyła Joanna dzieci ubogich, jak ona, sąsiadów, za małe wynagrodzenie, początków czytania i pisania. Ta skromna jej działalność wydawała się prokuratorowi wielkich Niemiec olbrzymim występkiem, zagrażającym spokojowi, bezpieczeństwu państwa. Więc zaprowadzono wylęknioną Joannę do gmachu sądowego i skazano ją na wysoką karę pieniężną.

W drugiej noweli p. t. „W zimowy wieczór“ zestawiała Orzeszkowa z niepospolitym talentem przeciętną uczciwość ze zbrodnią, wylęglą z nieszczęśliwych okoliczności.

Rodzina starego Mikuły, zamożnego chłopa, ma ręce i sumienie czyste. Żaden z jej członków nie okradł, nie oszukał, nie zabił nikogo, bo nie potrze-

bował cudzej krzywdy do utrzymania własnego życia. Takie uczciwości, nie kuszące, nie wystawione na próbę przez głód i poniewierkę, bywają, jak wiadomo, bezwzględnyimi sędziami grzechu. Kto nie potrzebuje sięgać po własność obcą, ten nie pojmuje zwykle, jak można się plamić kradzieżą.

Nie rozumie tego i rodzina Mikuły.

W okolicy wioski włóczy się podobno jakiś Bąk, znany z zuchwalstwa i przebiegłości opryszek. Ludzie opowiadają sobie o jego sprawkach dziwy i oglądają się z trwogą na samo wspomnienie jego nazwiska. Z warownej turmy uciekł, czujność stróżów zmylił na Syberyi, z kopalni nawet zdołał się wydostać. Gdyby takiego niebezpiecznego ptaszka spotkał który z rodziny Mikuły, przytrzymałby go bez wahania i oddał w ręce władzy. Zdanie to podziela i sam Mikuła, surowy przestrzegacz cnoty.

Wtem, gdy rodzina rozprawia przy ciepłym kominie i pełnej misie o owym Bąku, zjawia się w chacie jakiś zbiedzony człowiek i prosi o gościnę. Podsuwają mu stołek, karmią go, poją. Ale ów obcy człowiek zachowuje się tak dziwnie, że budzi podejrzenie cnotliwych ludzi. A może to sam Bąk? Już go chwytają, wiążą, gdy stary Mikuła kazał włóczęgę puścić. On jeden domyślił się prawdy. Miał on kiedyś syna, którego wypadki pchnęły na drogę zbrodni. Tym synem był ów straszny Bąk.

Przemianę bezwzględnej cnoty starego Mikuły

na uczucie litości, na wyrozumiałość dla cudzego grzechu, odtworzyła Orzeszkowa znakomicie, z głęboką znajomością natury ludzkiej.

Nowela trzecia p. t. „Dobra Pani“ jest kartką, wyrwaną z księgi t. zw. życia światowego. W świecie tym nudzą się panie bardzo często, zwłaszcza, gdy im czasu nie wypełniają obowiązki żony lub matki. Nudząc się zaś, wymyślają sobie różne zabawki martwe i żywe, które rzucają bez żalu, znalazłszy inną, nowszą.

I „Dobra pani“ Orzeszkowej nudzi się. Chcąc nudy czemś rozproszyć, bierze do siebie na wychowanie sierotę, dziecko ubogich rodziców, które otacza przez pewien czas dostatkiem i psuje pieśczołami. Ale wkrótce zjawia się zabawka inna — jakiś muzyk włoski—więc cacko dawniejsze idzie nasamprzód do garderoby, a następnie wraca do krewnych, do nędzy, od której już odwykło, z którą się pogodzić nie może. „Dobra Pani“ nie zastanawia się nawet przez chwilę nad tem, że jej grzeszna „dobroć“, wyrosła z nudów, złamała życie biednej istocie.

Wszystkie trzy obrazki, zawarte w tym tomie, należą pod względem artystycznym, do najlepszych nowel Elizy Orzeszkowej.

Teodor Jeske-Choiński.

A... B... C...

Panu

Leopoldowi Méyetowi.

Proszę Cię, drogi przyjacielu, abyś te pyłki, spostrzeżone i podjęte na drogach ludzkiego życia, przyjąć raczył, jako pamiątkę naszej dawnej, szczerzej i niezachwianej przyjaźni.

El. Grzeszkowa.

W wielkiem mieście, wielkich Niemiec, Joanna Lipska codziennie przechodziła około wielkiego gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkiem było to państwo i wielkim zbudowany przez nie gmach sądowy; cóż ona z potężnymi wielkościami temi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami wielkich jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie mając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy i nigdy wielki gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak małą, ze swem skromnem nazwiskiem, ze swem zupełnem ubóstwem i ze swą szczupłą dziewczęcą kibicią! Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz z pod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych jak len, gładkich

i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwinionych z tyłu głowy. Cerę twarzy miała bladą i często zmęczoną, małe różowe usta i wielkie szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młodą była i niewątpliwie ładną, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej odrazu jedno z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wązkich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Niepielegnowane i nieuwydatniane, kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które zdrobniały i spłwiałały w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastają się w blasku słońca. Dziewczyna z lnianymi włosami i delikatną dziewczęcą kibicią byłaby może bardzo ładną, gdyby miała cerę świeższą, swobodniejsze ruchy, świetniejszy strój, gdyby na koniec chciała i umiała rzucać się ludziom w oczy, śmiało, zalotnie. Ale widoczne było, że czynić tego nie chciała i nie umiała. Błada i przywiedła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience, szła ona zawsze ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonem, a drobne i kształtne jej stopy w grubym, brzydkim obuwiu, prędko, prędko, bez względu na gracyę ruchów, stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowanie, wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę i popatrzyła na robotników, pracujących u szczytu rusztowania,

popatrzyła chwilę i pobiegła dalej. Pomiędzy nią a tym gmachem wielkim i napelnionym posępnemi dźwiękami sporów i zbrodni, cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żalobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkiem czole. Cierpiała wtedy bardzo i dużo myślała, nie tylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnemi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziała się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi:

— Przebaczcie mi, że istnieję!

Dopóki żył stary ojciec, wiedziała, że żyje dla niego, a także nie znała nędzy. Teraz chodziła po świecie z nieustanną myślą:

— Na co ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodną i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba, czy bułki, albo o całych trzewikach, myślała zarazem.

— Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, a koszule jego drą się już w kawałki. A tu ja jeszcze siedzę mu na karku!

Była to troska pozioma, prozaiczna, przyobleczona w głowie dziewczyny w formę trywialnych

słów; niemniej, ilekroć nikt jej nie widział, drobne jej ręce załamywały się rozpaczliwym ruchem, łązy młode, więc rześiste, opływały policzki, a drżące z żalu usta szeptały pytanie:

— Na co ja komukolwiek, czy czemukolwiek na świecie przydać się mogę?

Miała znajome i rówieśnice, które w takim samym jak jej położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytaly one drobne, codzienne przyjemności życia, karmiły się niemi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo, było im dość dobrze. Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej; może naturze dopomogły w tem rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swem z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował... A! wcale inaczej działałoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tem będzie; tymczasem wszyscy to łatwo odgadną. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Może już przedtem cierpiał wiele i zdrowie sterał; usłuchoał odrazu i odszedł ze świata. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiła głowa pedagoga, z zaczerwienionemi od pracy oczyma i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz je-

dną chwilą, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: „Idź ztąd precz!” Poszedł, a gdy tylko zniknął, przed córką jego stanęły znaki zapytania: Co czynić: pozostać z bratem, gotować mu obiady, naprawiać jego bieliznę, wieczorami czytywać mu książki, rozrywające po pracy biurowej w landraturze? Wszystko to czynić chciała i umiała, niczem z tego nie gardziła, lecz ta jego biurowa praca... Zaledwie na wyżywienie i przyzwoite odzienie dla jednego starczy. Nakoniec, choć gotowanie obiadów, zamiatanie mieszkania, naprawianie bielizny nie były dla niej robotami trudnymi, ani upokarzającymi, ale dusza jej zaspokoić się niemi nie mogła, jak płomyk wiła się w jej piersi, buchała w górę, rwała się wyżej... Pomimo trosk i zatrudnień bardzo poziomych, miała ona, ta młoda dusza, poezję swoją i ambicję. Pragnęła czynić coś i czemś być.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W rękę trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania nosiła. Pomimo, iż był dość ciężki, prędko wbiegła po wązkich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła, blada, miała jednak siłę organizacyjną nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole, pozostała nieruchomą i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwisał sufit niski, belkowany, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami, oklejonemi lichem i pstrem obiciem, stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennem i kredensowem naczyniem, łóżko zasłane szczupłą i białą, jak

śnieg, pościelą. Tu sypiała; pokoik przyległy służył za sypialnię i pracownię jej brata, i było to już całe ich mieszkanie, znajdujące się na tak zwanej „salce”, czyli górnem pięterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta za pomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu, a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipscy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy, a wązkiemi drzwiczkami od dziedzińca i mieszkała rodzina właściciela szynku. Dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę stojącej nieruchomo dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czem z taką rozkoszą marzyła? Czy o tanecznym wieczorku jakim? o nowej sukni z wesołą, jasną barwą? Może o czułem słówku, albo ognistem spojrzeniu kochanka?

Obudziła się z zamyślenia swego, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest radości. Z dziecinną też prawie radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała.

— Cicho!

Potem, cichutko znów samą siebie zapytała:

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapce leżał

młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, ładną, ale której białość niemal papierowa razila pozorem niezdrówia i martwoty tem przykrzej, że odbijała od krótkiego czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowem, choć zawsze trochę powolnem i nieśmiałem, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazyalnych, kiedy cera jego nabywać poczęła tej przykrej, monotonnej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnymi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w biurze landratury. Karyera jego była złamana na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tem dokładnej sprawy zdać nie mógł. Prostu uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu osmuconym dymisją ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnem powietrzu, którem oddychało to miasto? Moznaby dociec, lecz trudno dociekać.

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista landratury, leniwie wyciągając się na kanapce, wydobyl z gardła wzajemne, nieokreślone, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem, podniosłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i głośno poziewając, dopóty usta szeroko otwierał, póki mu ich nie

zamknął prawdziwy grad pocałunków. Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już Mieczku, mam! czego chciałam! znalazłam!

Leniwie, obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i przewlekłym, nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Istna waryatka z ciebie. Co znalazłaś? pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył napowrót, i z za ciemnych szkieł, zaczerwienionymi mrugającymi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

— Jakie? a pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie swe troski i zmartwienia, któremi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek, na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdatną być może, bo uczyła się tylko w domu, niewiele... To co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrowszy bywa i jej starań potrzebuje...

Tu, w szarych oczach opowiadającej zakręciły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała jej, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujących. Naturalnie, propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcye, bo tam, przy turkocie i zawierusze magła, uczyć się nie sposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z nimi na lekcye przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład, syn tego ślusarza, który wiecznie siedzi i pije, a którego matka zabija się praniem bielizny, już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwozić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze w perspektywie dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawił i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i mała Mańka, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, tak jak matka prała bieliznę. Ten śmieszny

Kostuś taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi— a jednakże dla niej łagodny jak baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to oddawna już przepadają obie za sobą...

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem dlaczego, ale tak jest... Może to po ojcu... Ot! myślałam i wymyślałam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, a później... później...

Wszystko to mówiła z wielkim i coraz większym zapalem; w ciemnym pokoju z oknem od północy żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak po czole jej mknęły widoczne blaski i rumieńcem wezbranego życia staczały się na policzki.

Mieczysław siedział prosto i sztywnie, z za okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchome też były rysy mizernej i sennej jego twarzy, trudno byłoby odgadnąć, czy to, co mówiła mu, sprawia na niem jakiegokolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy i że chude palce długich i białych jego rąk, które wsparł o kolana, coraz zwaśniej bębniły po wytartym suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później!... później!...

Δ potem, szczególnym ruchem, zakłopotanie,

czy żartobliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalony kołnierz koszuli, nie bez wahania się zapytał:

— No?... cóż?... takie dalekie projekty układasz... a za mąż wyjść nie myślisz?

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło. Wiesz o tem, że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc? jakim sposobem? Zresztą może... ale spuszczać się na to nie mogę...

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową, brat wpatrywał się w nią jak i wprzód, tylko po wązkich wargach, czarnym wąsem ocienionych, przewijało się coś nakształt żartobliwego uśmiechu.

— No...—zaczął znów—a ten doktor?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jakto! więc odgadł on w niej to, o czem nigdy przed nikim ani jednego słowa nie przemówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć czego, z oczu jej chyba, z gry rysów odgadnąć... Zresztą nie było tu o czem mówić. Nie było tu wcale ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot, tak jakoś, serce uderzyło żywiej. Musiało przecież żywiej uderzyć, młodem będąc, ale zresztą milczało, bo nie było w niem nadziei.

Rumieniec zgaśł na twarzy Joanny, oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi. Po chwili milczenia, ciszej niż przed tem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku! ty wiesz dobrze, że byłoby to

dla mnie marzenie zbyt wysokie... Doktor Adam był dla nas bardzo dobrym, w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze, że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem dobrze, iż nie myśli o mnie i nie pomyśli nigdy...

Pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko, widzisz... miasto nasze takie ciasne... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się z sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział... że ja... wiem dobrze, iż między nami nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję przynajmniej na jego szacunek...

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisała nad szarem jej życiem. Mieczysław wydobył szyję z krochmalonego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta nieco się rozwarły. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym albo jeszcze sennym. Nagle zapytał:

— No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia, czy marzenia. Natychmiast górną, rozwiewną swoją tęczę opuściła dla spraw powszednich, które miały dla niej ogromne znaczenie. Wesóło znów powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielki, jednak w ich wspólnym życiu zaważy wiele. Zresztą to tylko początek.. ziarnko do ziarnka—zbiere się miarka, i później, później...

Mieczysław wstał. Prosto, sztywnie postąpił kilka kroków, chude swe ramiona w wytartych ręk-

kawach zaokrąglił dokoła kibici siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona, skoczyła mu na szyję. Uradowana była i zdziwiona. Objawy czułości bywały u niego tak rzadkie, że takiego, jak teraz, prawie nie pamiętała. Potem dopiero, gdy wzięwszy czapkę wyszedł do biura, a ona, pogrążona w myślach, sama jedna siedziała w kuchence, po głowie jej przemknęło:

— Czy on tak rozczulił się dla mnie z powodu tego przyszłego zarobku? Więc o niczem więcej nie pomyślał, tylko o pieniądzach!...

Jednak tego wieczoru smutne myśli prędko od niej uciekły. Przy zapadającym zmierzchu, z dołu, z pod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły wciąż głośniejsze, niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza pijaka i żony jego praczki. Po drodze sukni jej uczepiła się dziewczynka malutka, bosa, puciołowata, rumiana i z kaczemi ruchami, obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za nimi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, załzawionemi oczami i wielką rozczochraną czupryną nad wązkiem czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek jego przyzwyczajień, nie był jednak dnia tego pijanym, tylko czegoś uradowanym i rozrzewnionym. Za progiem swego mieszkania pochylił się i schwyciwszy

rękę Joanny, z całej siły swych warg ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, ciężki, cały w grube płótno odziany, bosemi stopami ciężko o kamienie uderzając, ze dzbankiem pełnym wody pobiegł na schodki, prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne drobne, gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi z pod brwi, nieufnie, czasem przebiegle i ze złością. Matka, zapracowana i wiecznie zgryziona, często łajala go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopalki cygar i obwarzanki cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznania życia był mu—szynk. Jednak od niedawna to stare, dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innem niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panielki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek, jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej w czem mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami swe podniesione kolana i patrząc na nią już nie z pod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztroprnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Mańki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, bardzo często widzieć ich można było trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na schodki i wchodziłi do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Z za cienkiej ściany górnego pięterka domku wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające:

— A... b... c... a... b... c...

Inne, starsze nieco, prawily:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydelka, sześć nóżek, dwa różki i żądło...

Albo:

— Pięć razy sześć, trzydzieści... cztery od dziesięciu, sześć i t. d.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swemi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tem swój cel. Chłopiec, zakreśliwszy całą stronę, brał papier w obie ręce, szerokie swe plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie.

— Nie czyni drugiemu, co tobie niemilo... Choć ubogo, ale chędogo... Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki...

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutną. Nawet gdy szła ulicami miasta, można było spostrzedz w ruchach jej i wyrazie twarzy znaczne zmiany. Wyglądała rażniej, zdrowiej i pogodniej. Obuwie jej nie było już nigdy podarte, ani suknie tak zniszczone. Okwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości

jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Praczka bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz, posiadający obszerny ogród, przynosił im warzywa i owoce; mieszkający naprzeciw piekarzowie, w dodatku do miesięcznego rubla, przysyłali codziennie małą bułkę chleba; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał, a czasem to i owo na rynku kupił i przyniósł w prezencie panience, która dla jego małej była tak dobrą... Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak ślusarz płacić jej przagnął monetą, innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć, wracając z miasta wchodziła na dziedziniec, człowiek ten nie wiedzieć z kąd zjawiał się także. Czy ujrawszy ją przez okno, wypadał z szynku lub wysuwał się z za węgła domu, u którego próżniaczo godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość, że zawsze, nieodmiennie, z zegarkową regularnością, gęsta czupryna i niskie, ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte obrzękłe wargi wyciskały na jej rękę głośny, przeciągły pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady, bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty, radością świeciły jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, któremi zastąpiła tamte... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze swego kapelusza przypięła gałązkę sztucznych kwiatów...

Teraz na ludzi patrzyła śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzeniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła, chociaż usiłowała o tem nie myśleć. Był on dla jej ojca bardzo dobrym w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, słuchała rozmów, które z uczonym pedagogiem uprzejmie prowadził — potem przybył na pogrzeb, i gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł na swoim ramieniu. I nic więcej pomiędzy nimi nie było, ale ona i o tem nigdy nie zapomniła. Teraz widywała go tylko na ulicy, z laleka, gdy zgrabnym, jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pacjentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie. Nic więcej. Jednak w jej sercu struna jakaś uparła się drzeć przy każdym jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: Niepodobna! Ale nikt już więcej nie sprawiał na nią najłżejszego wrażenia, a czasem, w noc księżycowe, po dniu pracy, spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc, przez szyby małego okna patrzyła w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu ani marzyła, wydawało jej się wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem, uwijającym się o ile tylko sił starczyło, u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowli. *U podstaw*, wyraz ten gdzieś słyszała, czytała. Otóż, była tam teraz. Wyżej promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona razem z mnóstwem po-

dobnych sobie maluczkich istot, zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tem, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna i nawet z owej górnej tęczy nieznanego i na zawsze niemego uczucia nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często, w późne wieczory, bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe, z dołu, z pod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięcym czystym, cichym snem Joanny.

*

*

*

Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małym gospodarstwem swoim i brata. Dlatego codziennie, raz albo i dwa razy na dzień po prowizyę i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach najczęściej mijać musiała zblizka wielki gmach sądowy, ale nigdy najmniejszej na niego nie zwracała uwagi. Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napelniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak — jakim sposobem to się stało, trudno dociekać — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu i wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była niem ława oskarżonych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej

wtedy, że wszystka krew zbiegła się do jej głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło, jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty, mgliły się i maciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała nakoniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wytężoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą ze wszelkiej odzieży postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmaconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzyli na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w czarnem skromnem ubraniu, drżącą, przelękną, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napelniał szeregi ław ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło, na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na załagający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Tu i owdzie jaskrawy kwiat zakołysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i z cchem odbił się w górze głośniejszy wymówiony wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka głośniejszych dobitnych słów i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowni.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Słowa te powróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znów. Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią, a tak zbliżka obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gżemsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swem usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć na pewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośne i trwały długo. Otyła i siwa Roźnowska w staroświeckiej mątyli i z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, pokilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, ale życie przeszło jej w tem mieście i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem,

jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, aby umilkła już i usiadła. Przyjaciółka właścicielki magła, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tem zgromadzeniu kaszmirową suknią i eleganckimi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które jako *corpus delicti* leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do septymy przygotowała tak dobrze, że teraz gdyby nie był jeszcze zbyt małym, przyjęłoby go może i do seksty. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie że uczuła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale, słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukację jego dbać musi, a tu pod bokiem guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki i pełny uszanowania, poczem, milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającymi trochę ustami i powiekami, obok Roźnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszerek i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej krótkiej spódnicy i wielkiej chustce zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszanych słów nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu wypieczonych parą wrzółki i spieką żelazek, łzy jak groch padały na grube, poparzone, u piersi splecione

ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra panicka... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz. Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją, dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłusznym, ale ręką żylastą i silną, targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniej niż wypadało dowodził, że gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś, posyłać ją na pensję — za drogo mu było. Więc, cóż miał robić? i cóż on takiego zrobił? albo i ta panienska: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce z takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak z nim się dzieje? — Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, nakoniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnem pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydelka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam niemiło i t. d.

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi, napelniającemu

połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby mózdz lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkimi ławami, na jakimś małym podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniały się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał niż zwykle! Suche ramiona swoje w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wystąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte, co zresztą zdarzało mu się często, tylko że w tej chwili ten charakterystyczny rys jego twarzy nie rzucał na nią wyrazu ani gapiowatości, ani martwoty, lecz nieopisanego udręczenia. Z wyteżoną uwagą słuchał on krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator królewski, i splątanej, strwożonym jakos głosem wybąkanej, obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny, oznajmiając jej, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, coby na swoją obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych podniosła się znów szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i tylko głos cichy, trochę drżący.

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze...
Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła ude-

rzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i, poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— Myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winną. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący sądowi nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami swymi do komnaty narad i przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i jak w tęczę wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu? tego, z powodu oddalenia, nikt z tłumu dostrzedz nie mógł. Patrzyli też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, najwyżej dwie minuty, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczegoż narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali posiedzeń powraca.

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstawali. Za stołem, zasłanym sukniem, przewodniczący stanął pospołu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem, niż ten, w którym wprzód przemawiał. Joanna Lipska skazana została na dwieście talarów kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności, na trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i owdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi...

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczajnymi.

czaj względniemi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku najłżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie, jak wprzódy, skrzyżowane ramiona do piersi przyciskając. Urzędnik jakiś; w kołnierzu zrzadka haftowanym złotem, przechodził tamtędy i spostrzegłszy go, zatrzymał się przed nim. Znał go widać i z życzliwym uśmiechem zaczął:

— No, cóż, panie Lipski? Dobrze skończyło się wszystko! Ale jakże będzie? Sztraf, czy więzienie? Jutro rano sam przyjdę do was. Ale zapłaćcie lepiej... Dwieście talarów, rzecz niewielka, a panienki szkoda...

I pobiegł dalej. W tejsze chwili Mieczysław odewłał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Kilku biurowych kolegów chciało go przytrzymać i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak rozpalone, że z za ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dookoła. Tak wypadł do długiej i jasnej galeryi, z rzędem ogromnych, jasnych okien, którą przepływała publiczność, zwolna znikając w dole, na wschodach. Tu obejrzał się i we framudze jednego z okien spostrzegł Joańnę, która tam stała, może czekając na niego, może nie mając siły, czy odwagi torować sobie drogi wśród tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grupą osób, znajdujących się już u przeciwnego końca galeryi. Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tem mieście znany, przy stojny, wzięty przez panie, szczególnie ulubiony doktor Adam. Jak mnóstwo ludzi innych, przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej i łatwo było spostrzedz, że wychodził pod wpływem

poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież gdy jedna z jego towarzyszek, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem przemówiła do niego, uśmiechnął się także i w początku wschodów pośpieszył podać jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwyta za rękę i zobaczyła Mieczysława, który, schylony nad nią, prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesa. Za kilka godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionemi wciąż oczami i, mocno ściskając jej rękę, dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

* * *

W kilka godzin potem Mieczysław Lipski znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę i w przyległym pokoju, z głośnem stęknieniem, usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie ciężko znużonym, twarz jego wróciła do swej jednolitej papierowej białości; gestem zamyślenia i stroskania przesunął długą, białą swą ręką po zmarszczonem czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na dziedziniec, do praczki albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Roźnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata, nie zerwała się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego nie potrzebuje? Nie mogła może odrazu wyrwać się z zamyślenia, albo

miała do niego trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała i powoli, cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! gdzieżeś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mię nie spostrzegłeś. Rożnowska przysyłała, prosząc, abym do niej na resztę dnia przysła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdiesz... przyszedłeś tak późno...

— Aha! późno! — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o kilka kroków przed nim, ze splecionymi na sukni rękami, oczy jej, głęboko zapadłe, smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znów brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mnie do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące, to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek, w jakąkolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twojem gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie twoją bieliznę i odzienie, abyś wiedział, co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Kostusia umówię, aby codzień zrana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić. W domu już jadać nie będziesz, bo któżby ci teraz gotował? ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się,

czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze niż w restauracyi... Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz zwyczaj czynić to tak, że pokój napelnia się dymem i swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi... W spiżarce, przy kuchni, jest trochę masła, kaszy i mąki, a w piwnicy kartofli i warzywa sporo... dobrze zrobisz, oddając to wszystko Rożnowskiej, jeżeli u niej jadać będziesz. Zawsze to ci trochę pieniędzy oszczędzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak — odrzekła — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypominę sobie...

Nie spuszczając z niej wzroku, przez kilka sekund wstrząsał głową, tak jakby dziwił się czemuś lub nad czemś ubolewał. Potem, nosowym swym, przewlekłym głosem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionemi kobietami, w brudach, w błocie?...

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? wyrok sądowy... ostateczny...

— Czyś nie słyszała? dwieście talarów kary

pieniężnej albo więzieniu... dwieście talarów! wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się i ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno. Dla mnie sumę tę dostać jest tem samym, co zdjąć gwiazdę z nieba; ani pomyślałam o tem.

— Aha! nie pomyślałaś — zawołał kancelista i tym razem, zerwawszy się z kanapy, wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie kościste ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko nadało mu niejakie podobieństwo do wietrznego młyńca. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami, jak młyńskimi skrzydłami, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni, tak jak swoje uszy bez lustra! Plwam ja na pieniądze, tam gdzie idzie o honor, a może i życie mojej siostry! Baga-tela! trzy miesiące w mckrych murach, w brudzie, błocie, ze złodziejami i łajdaczkami! Nie z pod ogona sroki wyskoczyłaś! Jesteś córką profesora, panną dobrze wychowaną i delikatną... Dlatego, żeśmy zbie-dnieli, to mamy już tarzać się po więzieniach, ze złodziejami i pijakami! Cha, cha, cha! cha, cha, cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju, oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i gestykulując.

Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ ma miłość boską! Mieczku! co ty wygadujesz! Zkądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Staął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołągą, na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znów zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła i ręce jego w swoje pochwycawszy, mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsało jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czem, w tajemnicy swej duszy, śmiertelnie drżała; radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości; najbardziej przecież przestrasz...

— Zkąd wzięłeś te pieniądze, Mieczku! Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? drogi mój, co ty zrobiłeś?

Spróbował ręce wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił coraz mocniej ścisnęła.

— Zkąd wziąłem? nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem i koniec!

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jakże ty będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Roźnowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma! Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ścigała go tem natarczywem, gwałtownem pytaniem, dopóty wzrok swój gorący i strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią i prawie gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tem mieście lichwiarzy.

Joanna uderzyła głośno w dłonie, a potem nie mi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez kilka, minut, prócz tego jednego wyrazu, nic wymówić nie mogła. Biedny jej brat ze zwichniętem życiem przez nią, dla niej, oddawał się jeszcze w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść dłu-

gów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrowa, silna, młodą i może wszystko wytrzymać; że słusznem jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi, niż te trzy miesiące... tam!... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkiem wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: „Nie, Joasiu, nie! nie! ja na to przystać nie mogę!” osunęła się na klęczki i rękoma kolana jego objąwszy, błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieś temu, od kogo je wzięłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciśzku złoty, pozwól mi tam pójść!

Plakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinał się z jej głowy i rozpleciony, star-gany, strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on, schyliwszy się prędko i podnosząc ją z klęczek, długimi swemi, twardymi ramionami, mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika, który tu przyjść miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić — a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę nerwowo, ze szczególnem zmieszaniem tryumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi plakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odnosił je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad

bratem i trwoga o jego przyszłość, przejmowały do głębi dziewczynę starganą strasznymi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętnym, a teraz...

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie, za stołem okrytym kancelaryjnymi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzętała się około nastawiania samowaru. Napełniła samowar wodą i ze dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem, widocznie zmuszając się do ruchu, nabrała z piecyka węgli, które także do samowara wrzuciwszy, znów zwiesiła ręce na suknię i stanęła prosta, sztywna, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniawszy jej snąc o czemś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te dwie ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś, zamiast je podnieść, pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nierówne, co chwila powstrzymywane nieodpartem zamyśleniem. Nakoniec nóż i chleb na stół rzuciła i rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuchnęła gwałtownie tłumionym płaczem. Co ona teraz z sobą pocnie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O! straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszanym i przestała płakać. Ale nic zrobić nie mogła; formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, my-

śleć i myślami temi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Oslupiały wzrok jej błędził za szybami, nie widząc nic, prócz kilku czarnych brzydkich dachów i kawałka nieba zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy; więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej posępna. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po spłowiałych ustach, po raz pierwszy w jej życiu, wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem, drzwi od kuchenki skrzypnęły i ukazały się dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swem ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony i za rękę prowadzący małą pucatą Mańkę, prędko drepczącą także bosemi nóżkami, wydobywającemi się prawie po kolana z pod luźnej, spłowiałej sukieneczyny. Nie upłynęło kilku sekund, a chłopak, lękliwie i z zasepioną jakąś czułością, z pod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś trzepocząc małemi nogami i rękami, z cichym chycho-tem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz właśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść syn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogródku, i milcząc, tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu napelnił kuchenkę. Kostuś zaś, wciąż tem samem spojrzeniem przywiązanego i lękliwego zwierzątka, z pod brwi na nią patrząc, wyjął z zanadru spory zeszyt i rozwarłszy go, powoli zaczął czytać:

— Próż-nia-ctwo jest oj-cem wszy-stkich grzechów. Kto ra-no wsta-je, temu Pan Bóg daje.

A mała Mańka, także z za sukienki wyjęta stary

elementarzyk, zbrudzony, zgnieciony, i roztwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c...

Joanna zcicha śmiać się zaczęła i całowała ciemne, zmarszczone czoło chłopca i jędrny, rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tem bardzo. Ztąd powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju, nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna splonęła ciemnym rumieńcem i twarz ku oknu odwracając, odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzkach jego znów wybiły się czerwone plamy, i oczy mu pały, ale tym razem gniewem. Właściwie był to gniew pochodzący z przestachu, który wyraźnie malował się na twarzy w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znów dzieci! — powtórzył głosem podniesionym — czy zupełnie już mam zginąć przez te przebrzydłe bębny? Czy niedość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić?

Gestykulował popędliwie i nogą o podłogę uderzał. Przestach niespodziewaną siłą nadawał jego głosowi. Przeraźliwie prawie krzyknął:

— Precz mi ztąd, malcy! Żeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie postąła; bo jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stłukę. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli...

Joanna zapaliła lampkę, urządziła herbatę i razem z pokrajaną na talerzu bułką zaniósła ją bratu, który przy zapalonej też lampie pilnie już pisał. Codziennie spędzał nad takim pisaniem długie godziny

i w biurze i w domu. Postawiwszy szklanke i talerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najłżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić, był przełknięm, lękanie się to rozumiała. Tylko czuła, myślała, że znów koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce cyfrę Mieczysława.

Czeremcha, przez dużego Kostusia przyniesiona, napełniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar stojący u pieca, szumiał i parą buchał; z dołu, z pod podłogi dochodziły głuche szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu, albo kłótlivy, czy hulaszczy okrzyk. Szynk tam rozpoczynał swoje nocne, podziemne życie.

Ale co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka — i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło, z nieokreślonymi formami?... zwierzątko? dziecko? Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bładem złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przeczystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund, po cichu, pełzając na czworakach, nagle, z wybuchem śmiechu, wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki *pan* nie przestanie gniewać się i krzyczeć. Ona tu i dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała; a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie... Wszystko, od *a* aż do *p*... od *p* nie umie, ale *wczoraj* nauczy się...

Chciała zapewne powiedzieć *utroj*, a powiedziała *wczoraj*, ale to nic! Joanna znów całowała ją i zapytała,

czy rodzice jej wiedzą o tem, że tu nocować zamierza?

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znów? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

Zcicha i z wielkiem zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Mańka... Czy mam powiedzieć jej, aby poszła precz?

W przyległym pokoju przez długą minutę panowało milczenie, aż przewlekły, nosowy głos mężczyzny wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole, pod podłogą, rozległo się znów głośne stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię, okrytą śmieciem i zalaną trunksiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence, oświetlonej małą lampą i napełnionej zapachem czeremchy, blada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanymi oczami, trzymała na kolanach bose, pucate, śmiejące się dziecko. Z za krótkiej, spłowiełej sukienki tłusta, czerwona rączka dziecinna wyjęta znów mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem.

Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

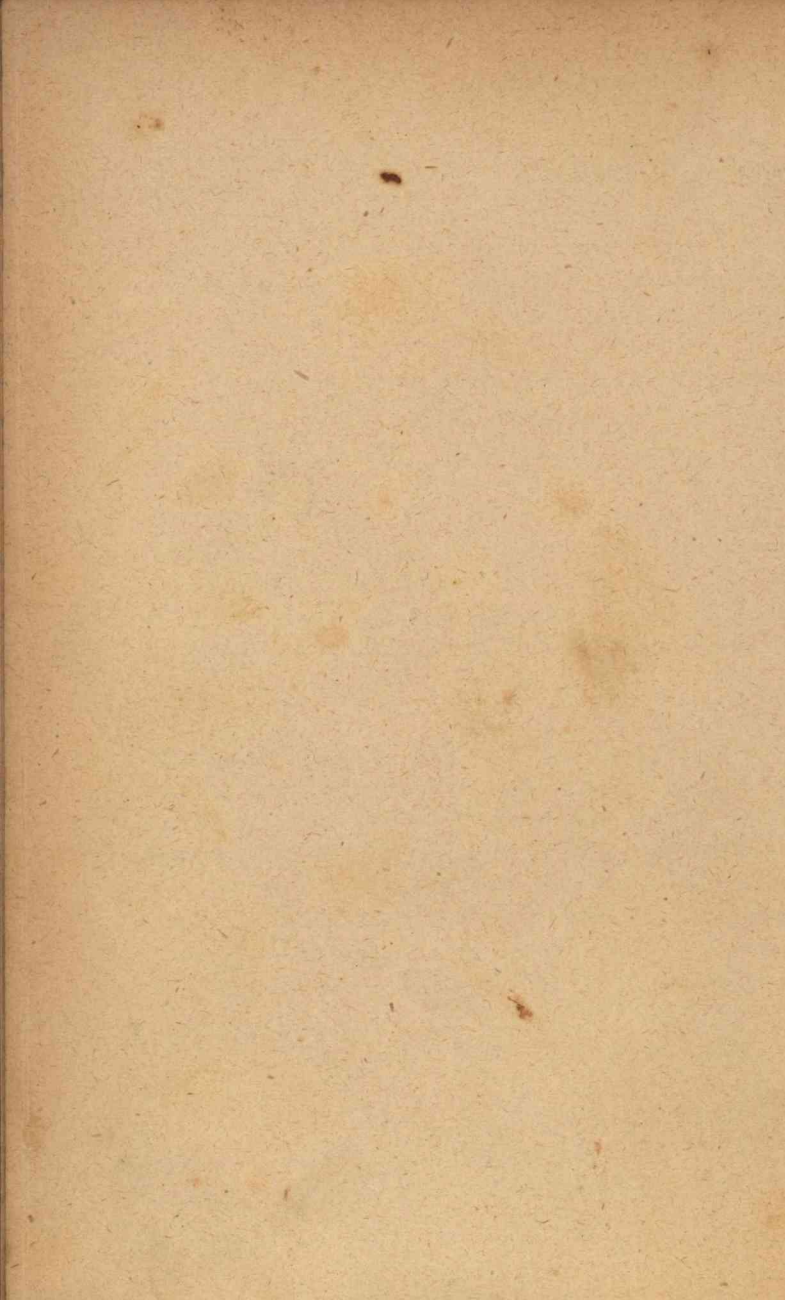
— C-i-i-i-cho!

— C-i-i-i-cho! — schylona nad dzieckiem powtórzyła Joanna.

Małeństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i tłustym, krótkim paluszkim o każdą z liter uderzając, cicho, szeptem prawie czytało:

— A... b... c...

W Zimowy Wieczór.



Wieczór był niepóźny, ale bardzo ciemny; na niebie, usłanem chmurami, nie świeciła ani jedna gwiazda, wiatr posuwił się hasał, wirującymi słupami wzbijał się w górę, gamami szumów, jeków, gwizdań, śpiewał w głębokiej kotlinie, na której dnie leżał równy, szeroki szlak zamarzłej rzeki. Rzeka, wązkie jej wybrzeża, wysokie ściany kotliny majaczyły w grubych ciemnościach mętną białością okrywającego je śniegu. Z jednej strony, na górze, panowała zupełna pustka, tu i owdzie tylko przerywana czarnymi, cienkimi liniami drzew, z drugiej strony, wyżej jeszcze, wiejskie domostwa kreśliły na tle ciemności łańcuch grubych, czarniejszych niż ona punktów. Polyskiwały też one rzędem drobnych świateł, podobnych do czerwonych, mrugających oczu.

Zdaleka, nisko, nad samym szlakiem rzeki posuwała się postać zupełnie samotnego człowieka. Na tle mdlawej białości śniegu wydawała się ona cienką linią, szybko przerywaną grubymi, ale mniej od niej czarnymi ciemnościami.

Wznoszące się ze stron obu wysokie ściany kotliny zmniejszały jej rozmiary, możnaby myśleć, że jest to nieskończona małość, płynąca po morzu nieskończonej wielkości. Wielkie morza nocy i samotności rozlewały się w koło niej; zbałwanione, szumią

ce wichry zdawały się nieść ją po szerokim, dzi-kiem, ponurem łonie natury, wobec której sił, groźb i ogromu, była ona kroplą, okruczem, ziarnem piasku, źdźbłem trawy, upadłem na dno przepaści...

Jednak, pomimo pozorów nadawanych mu przez otoczenie, człowiek idący po dnie przepaści silnym być musiał, bo jak zręczny i wyćwiczony pływak porze wzburzone wody, tak on szybko, niezachwianie, w linii prostej, pruł posuwiste fale i wirujące słupy wichrów. To, co go otaczało — jakkolwiek czarne, dzikie i bezładne — nie czyniło kroku jego powolnym, ni trwożnym. Wzamian coś go z tyłu popychało, gnało, parło coraz dalej, coraz gwałtowniej. Ku czemu? Ku jakiemuś może punktowi wybawienia, czy schronienia, widzialnemu tylko jego oczom, ciemnością i uderzeniami wichrów oślepianym, a może i tym oczom nawet nieznanemu i tylko ognistemi zgłoskami wypisującemu na tle nocy naglący krzyk: Naprzód! naprzód! byle dalej!

Szedł prędko, równo, w linii niezachwianie prostej, cicho jak widmo, sunące po mniej czarnych niż ono ciemnościach; czasem tylko u stóp jego rozlegało się krótkie, metaliczne stuknięcie kija o wystający z pod śniegu kamień wybrzeża.

Wtem stanął, jak wryty stanął i głowę podniósł ku rozciągniętemu na górze łańcuchowi czarnych punktów, czerwonawemi światełkami mrugających. Na łańcuch ten widocznie patrzył, a w pogwizdy wichru, który z pod stóp jego wybuchnął wirującym słupem, wmieszał się okrzyk ludzki, zdziwienia pełen, z jednego tylko, lecz przeciągłego dźwięku złożony:

— A!

Zadziwił się. Kilka minut patrzył w górę i raz

jeszcze, ale już cichszy i krótszy wykrzyk rzucił pomiędzy dwa nieskończenie długie jęki wichru:

— A!

Potem szedł znów dalej, lecz znacznie powolniej niż przedtem.

Po ruchach jego głowy poznać można było, że z usilnem wyteżeniem wzroku spoglądał na rzekę, na szczyt przeciwległej ściany, pusty i tylko rzadkimi liniami cienkich drzew majaczący, na mdławo bielejące zagłębienia i garby tej wyniosłości, u której stóp postępował zwolna, coraz wolniej.

...Niegdyś, niegdyś w błękitie i złocie letniego dnia, nad tą rzeką schylała się młoda jeszcze chłopka w pstrej spódnicy, do wysokości kolan podniesionej, z pralnikiem, którym silna jej ręka rozgłośnie uderzała o szare płótna, przykryte płynnym kryształem wody. Tuż za nią, z łożynowego kosza, osłoniętego czerwoną chustą, wydobywało się na świat boży małe, pyzate, lnianowłose dziecię i ciekawemi, chciwemi światła oczami patrzyło na błękity i złoto dnia letniego, na usiany kamieniami piasek wybrzeża, na płynne kryształy wody i schyloną nad niemi, białym pralnikiem szare płótna uderzającą, na silnych i nagich nogach, jak na potężnej postawie opartą matkę...

Znów stanął. Tam, gdzie na górze ostatniem ze wszystkich światelkiem mrugał ostatni czarny i nieco od innych grubszy punkt łańcucha, od dołu wspinać się zaczynała droga szeroka, po mniej stromej niż gdzieindziej spadzistości sunąca coraz wyżej. Z jednej jej strony stały w ciemnościach i zcicha szumiały sosny, z drugiej wiły się kręte, niewyraźne cie-

nie plotków, na których, niby na poręczy wschodów bogacza, śnieg rozesał puszyste poduszki.

Stanął, na drogę pnącą się w górę wyteżonym zapewne wzrokiem patrzył i znów w szum wichru, lecącego po ściętych teraz kryształach rzeki, wmięszał się okrzyk ludzkiego głosu, pełen zdziwienia:

— A!

Długo stał w początku drogi. Wahał się, czy z samym sobą walczył? Kijem silnie uderzył o kamień, rękę do głowy podniósł i wnet ją wzdłuż ciała opuścił.

Zwolna, coraz wolniej iść zaczął drogą, wspinającą się po spadzistej górze, coraz wyżej...

...Niegdyś, niegdyś drogą tą na tę górę wchodził chłop wysoki i silny, białą koszulą świecąc w jesiennej mgle, bose stopy zatapiając w piasku, a na plecach niosąc sieć, przez której szerokie oka połyskiwały srebrne łuski i różowe skrzela rybie. A za nim wyrostek bosonogi, z hardo odrzuconą głową, z zawieszoną na ramię, wyższą od niego, wędą, biegł jak młode źrebię, grzywę rozwiewając, podskakując ku braciom, którzy ciekawie wyglądali z za płotu, dzieje połowu opowiadając tak rozgłośnie i tryumfująco, że głos jego daleko rozlegał się po wsi i pomiędzy rzadkie sosny wpadając, rozbijał się nad mogiłami w tysiąc śpiewnych, wesółych dzwonek...

Wszedł pomiędzy sosny i kilka razy potknął się o mogiły, niskimi krzakami otoczone, śniegiem przysypane i tuż przy ziemi niskimi krzyżami sterzące. Jak olbrzym domki liliputów, szerokimi krokami przestępował mogiły i krzaki, kierując się ku czeniu, co czerniało pośrodku wiejskiego cmentarza, znacznie wyższe od krzaków, a niższe od drzew, które

Jeraz pod dotknięciem wiatru głośno zaszumiały i ciszzej, przeciągle westchnęły.

Stanął i zblizka patrzył na ściany cmentarnej kapliczki, na drzwi jej próchniejące, wykrzywione, tednak zamknięte. W westchnienia drzew, zwolna poruszających w ciemnościach wachlarze swych gałęzi, wmieszał się dźwięk ludzkiego głosu, do westchnienia podobny:

— A!

Rękami uczynił parę żywych poruszeń, coś metalowego zadzwoniło mu w palcach i chwilę dzwoniło przy drzwiach, aż otworzyły się one i ukazały głąb kapliczki czarną, w górze dwoma małemi oknami, jak mgławo srebrnemi plamami świecąca. Wszedł i na chwilę zlał się z czarną ciemnością, ale wkrótce u wysokości jego piersi błysnął ognik latarki, który przecież najcieńszej nitki światła na niego nie rzucił. Było to latarka kryta, mała; światło jej wązkim i chwiejnym strumieniem wymykające się z za małej szyby, blaszanem półkolem z trzech stron osłoniętej, odwrócił od siebie, a skierował ku nizkiemu ogrodzeniu, za którem u ściany, na wielkich plamach pleśni, mętnie zamajaczyły linie rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Z wielkiego, drewnianego, prostaczą ręką wyrzeźbionego krucyfiksu, wązki i chwiejny strumyk światła przesunął się nieco dalej i oświecił obraz, na którym Bóg Ojciec w falującej, szkarłatnej szacie dłoń trzymał na białawym globie, Bóg Syn w spłowiałych szafirach dwa palce wznosił w górę, a Bóg Duch św. białym gołębiem z rozpiętymi skrzydły ulatywał aż pod czerwoną ramę obrazu.

Znów strumyk światła zakołysał się w czarnej przestrzeni i upadł na wielką, grubą szmatę papieru,

bez ram wiszącą u wystającej deski ściany. Tam św. Jerzy z rozwiniętym nad głową proporcem pędził na koniu, malowanym w białe i czarne pręgi, a w chwiejnym strumieniu światła postać ludzka, kształty zwierzęce i linie proporca, ukazując się, to znikając, tu wydłużając się, tam skręcając, tworzyły całokształt dziwny, naturze nieznany, do apokaliptycznych potworów albo rycerzy podobny. Dokoła kapliczki przeciąglej, rozpaczniej westchnęły drzewa, wiatr z jękiem wpadł przez szczeliny okien i zaszmotał starą kartą, która wzduła się i, jak skrzydło ptasie, z szelestem uniosła się w górę. Zdawać się mogło, że apokaliptyczny rycerz zrywa się z miejsca, na którym go przykuto, i z proporcem, podobnym do kosy, na koniu o lwiej grzywie, wnet w przestrzeń uleci. W jęki wiatru, przez szczeliny okien wlatujące, wmieszał się szept ludzki, gruby, przerażony:

— Jezusie miłosierny! ratuj duszę moją!

...Niegdyś, niegdyś pacholę chłopskie, w świąteczną sukmankę odziane, przez matkę za rękę tu przyprowadzone, klękało u drzwi tej kapliczki i z trwożą, która walczyła z zachwytem, wznosiło błękitne, niewinne oczy na wielki krucyfiks i wymalowanego śród papierowej karty konnego rycerza z proporcem...

Latarkę zgasił. Wyszedł z kapliczki, drzwi jej pozostawił otworem i nie zatrzymując się już ani na chwilę, wysoki nawet wśród wysokich sosen, powoli znów, krokami olbrzyma przestępował krzaki i mogiły.

Z cmentarza wszedł na drogę, szerokość jej przebył i rękę położył na wrotach pierwszej z rzędu zagrody wsi. Zanim je otworzył, wyteżonym wzrokiem na chatę w głębi podwórka stojącą popatrzył i raz jeszcze przeciągle wymówił:

— A!

Głową zakolysał, jak ktoś głęboko, bez granic zdziwiony.

Wrota skrzypnęły, drobny cień psa szybko i z głośnem szczekaniem od progu chaty posunął się podwórkiem; z za okna, mrugającego w ciemnościach czerwonym światłem, słychać było głos gruby, silny, ale świeży, młodzieńczy, prędko, długo, nieprzerwanie opowiadający o czemś, opowiadający, opowiadający...

Była to chata starego Szymona Mikuly, który teraz w obszernej i niskiej izbie siedział na zydlu, przy ustach trzymając wielką glinianą fajkę, na krótkim cybuchu osadzoną. Miał zapewne lat przeszło sześćdziesiąt, lecz nie wyglądał wcale na jednego z tych ojców rodzin, których synowie okładają razami, lub z pod strzechy, już ich nie potrzebującej, wypędzają. Na tle odymionej ściany, o którą opierał szerokie i trochę tylko przygarbione plecy, w mdłym świetle palącej się na stole lampki z wysokim kominem, postać jego, w białe płótno przyodziana, zarysowywała linie potężne; grube kłęby dymu, które nieustannie z ust wypuszczał, zasłaniały, to odsłaniały głowę wielką, nad czołem wyłysiałą, a z tyłu otoczoną wieńcem siwych włosów, i rysy duże, ściągłe, rumianą cerą powleczone, bujnym, twardym wąsem zjeżone, oświecone dwójgiem oczu błyszczących i mądrych, które z pod gęstych i obwisłych brwi spoglądały ze spokojną energią i ostrą przenikliwością.

Ręce jego, z których jedną zasunął pod przepasującą koszulę czerwoną taśmę, a drugą fajkę przy

ustach trzymał, wielkie, silne, żyłaste, zdradzały przechowaną wybornie zdolność do pracy i żelazną siłę ujęcia. Łatwo było domyśleć się, że gdy ten starzec wstanie, wyprostuje się i przemówi, wszyscy tu obecni śpiesznie i pilnie spełnią wszystkó, cokolwiek im spełnić rozkaże. Obecnych zaś w izbie tej było wielu, a wszyscy w tej chwili siedzieli lub stali nieruchomo, w milczeniu, w postawach takich, w jakich uwagę ich i ciekawość pochwyciło opowiadanie, którego słuchali.

Najstarszy syn Mikuły, bednarz, chłop około czterdziestoletni, rękę z heblem, którym wygładzał leżący przed nim ząb brony, oparł na ławie i ponuro opuścił twarz, tak okrytą gęstwiną czupryny i zarostu, że pośród niej, jak iskry pośród zarośli, błyskały czarne ogniste oczy. Żona jego, równa mu prawie wiekiem, stała przed kominem, na którym pałacy się ogień od stóp do głowy blaskiem swym oblewał kibić jej wysoką, wyprostowaną, z głową dumnie w tył odrzuconą i skrzyżowanemi u piersi ramiony. Tuż za tą poważną, o pięknych rysach i energicznej postawie gospodynią chaty, w cieniu nieco, za przezroczysem kołem i wysoką prząśnicą kołowrotka, siedziała córka Mikuły, która przed chwilą przedła, ale teraz, z ręką podniesioną ku płowej kądzieli znieruchomiała, ponsowe usta rozwarła i wszystko w niej: krępa kibić i ciemne ręce, zadarty nos i rumiane policzki, błękitne oczy, a nawet rudawe włosy, po wążkiem czole rozrzucone, zdawało się być zaczarowaniem w zdumieniu i przerażeniu. Przerażoną też, ale bardziej jeszcze zaciekawioną wydawała się stara, mała, szczupła babula, która przy samej ziemi, na niecce dnem do góry przewróconej siedząc, miała przed so-

bą sito pełne strąków fasoli. Łuszczyła je była przed chwilą i z kilku jeszcze strąkami w kościstej żółtej ręce, głowę, jakby oklejoną okrągłym czerwonym czepkiem, wysuwała pod światło ognia, które dziwne rumieńce kładło na jej pomarszczone czoło i migotliwe iskry krzeszło w zapadłych, lecz bystro biegających oczach. Ciekawą też i zadziwioną wydawała się młodziutka, jak jutrzienka świeża, jak brzoza wysmukła, żona młodszego syna Mikuły. Na zydłu, w świetle lampki, siedziała ona naprzeciw ponurego bednarza i u piersi, okrytej granatowym kaptanem, kołysała paromiesięczne dziecię. Wielki kosz z łozy, w którym spało inne niemowlę, na grubych sznurach zwisał u odymionej belki sufitu, obok szerokiego tapczana, zasłanego sianem i okrytego radnem. Dwie dziewczęce, frędzlami płowych włosów przysłonione głowy, pochylały się nad izbą ze szczytu wysokiego i rozłożystego pieca; z za szerokich pleców bednarza wychylało się płowowłose, piętnastoletnie pacholę, z kłębami sznurów na kolanach i z iglicą do wiązania więcierzy w rękę. W pełnym oświetleniu lub chwiejnych półświatłach, dwanaście tych istot ludzkich różnej płci i różnego wieku, nieruchomą grupą napępniało niską izbę, w której wiele miejsca zajmowały gospodarskie statki, rybackie narzędzia i rozłożyste krośna tkackie. Pośrodku izby stał opowiadający. Był to młodszy z dwóch synów Mikuły, trzydziestoletni, wysoki, zgrabny człowiek, którego postawa i ubiór okazywały pewność siebie, połączoną z dążeniem ku niejkiej już wytworności. Tylko co snać powrócił z drogi, bo jeszcze nie zdjął zgrabnego kożuszka, od którego czarne, baraniego kołnierza silnie odbijała rudawość jego krótko przy-

strzyżonej brody i świeża rumianość cery. Złote włosy z rudawym odcieniem, na tył głowy odrzucone, okazywały czoło bielsze od twarzy, śmiałe i roztropne. Trzymał jeszcze bicz, którym w podróży konie poganiał, i z żywymi gestami ramion i głowy opowiadał:

— Dalbóg, prawdę mówię! Żebym zdechł, jeżeli kłamię! Cały świat był dziś w miasteczku i wszyscy tak o tem gadali, że i targu żadnego nie było. Wszyscy gadają, że to jest Bąk, ten sam, co to dziesięć lat temu ze spółnikami, żeby im dobra nie było! troje ludzi zamordował...

— Żydów, zdaje się, czy co? — rękę ku włosom niosąc, mruknął ponury bednarz.

— A toż — potwierdził opowiadający — dwóch żydów i jedną babę, cò wtedy u nich nocowała, zamordowali, a całego bogactwa trzydzieści rublów u nich znaleźli. Wtenczas jego złapali i przekonali się, że to ten sam Bąk, który już przez kilka lat gdzieś indziej w dalekich stronach dokazywał... Kramy odbijał, pieniądze *chfalszował* i tylko tyle, że jeszcze nie zabijał... Aż tu i zabijać zaczął... aż tu i sąd nad nim zrobili, do katongi jego osadzili i na wieczne czasy na Sybir osadzili, a on z turmy uciekł. Uciekł szelma, odzienie inne włożył i na robotnika do jakiejś *chfabryki* poszedł... Poszedł na robotnika do jakiejś *chfabryki* i był tam rok, dwa roki, trzy roki, za fałszywym paszportem był... Aż i tam jego złapali i bili, gadają, że sto pletni szelma dostał...

— Aj! — żałośnie jęknęła młodziutka kobieta, dziecię w ramionach kołysząca.

— Aaaa! — ze zdziwienia głową zakołysała baba. Pacholę, z za pleców bednarza wyglądające, sze-

roko otworzyło oczy, których pogodę i niewinność zmaćła trwoga.

— Wytrzymał! Ot mój Boże! i wytrzymał! — nie zmieniając poważnej postawy i ramion nie rozplatając, zauważyła gospodyni.

— Ale! — wykrzyknął opowiadający — *czort* duszy jego nie wziął! W *bolnicy* trochę poleżał i w Sybir go pognali. Zagnali go het, aż na sam koniec świata, żeby już drugi raz nie uciekał. A on wziął i taki uciekł...

— Z katorgi uciekł? — fajkę z ust wyjmując, po raz pierwszy odezwał się stary Mikuła.

— Ale tatku, z katorgi, był tam rok, dwa roki, aż nogi wziął za pas i hajda w świat! Słyszę, po calutkiem cesarstwie pisma rozesłali. Do gubernatorów i do policmajstrów, i do *stanowych*, i do *wolo-stnych kancelaryj* pisma rozesłali, że mówią taki a taki z katorgi uciekł, że mówią, szukać jego i łapać wszystkim, kto tylko żyje przykazuje się... Słyszę, po calutkiem cesarstwie szukali, rok, dwa roki szukali, aż ot!... *Kab jeho wolki zduszyły... tutaj znaleźli...*

— Aj! — z za kołowrotka wrzasnęła Hanulka.

Gospodyni ramiona rozplotła i po raz pierwszy przestraszona rozdzieliła nieco jej piękne i jeszcze rumiane usta.

— *Hdzie?* — ozwał się znów Mikuła — *hdzie tutaj znaleźli?* Z durnego gadania, durniom pociecha...

— Dalibog tatku! — niezadowolonym ojca żywo dotknięty, szeroko ramieniem i batem rozmachując, wykrzyknął opowiadający. — Żeby mnie choroba ruszyła, jeżeli łgę! *Tutaj znaleźli...* o dwie mile od nas siedział... w *chfabryce* znów robotnikiem był,

za fałszywym paszportem znów był... Ot i fałszywy paszport poznali, ot już i łapać... mieli, a on nie du-reń, wziął i znów uciekł... psia jego krew... jaki mądry! cha, cha, cha, cha!

Sam jeden śmiał się, inni milczeli, a Mikula brwi ściągając, zapytał:

— A nie *breszesz* Aleksy? A nie wymyślił, żeby baby straszyć?... A próbował kiedy *bačka* zwozić? A?

Teraz, młody chłop, strwożone nieco spojrzenie zrazu na ojca rzuciwszy, z obrazą w głosie odpowiedział:

— Jeżeli ja łgę, to i pisarz łże. Od pisarza ja najwięcej i nasłuchał się o tej hawanturze, bo do kancelaryi pismo przyszło, że on tu tylko co był i znów przepadł... to *musi* jeszcze daleko nie zaszedł, to żeby jego szukać i łapać... takie pismo przyszło...

— Może i *chfotografią* do kancelaryi przysła-li? — zapytał bednarz.

Aleksy z pogardą ręką machnął.

— Z takich jak on *chfotografi* nie rysują... z innych rysują... Ale pisarz mówił, że pismo przyszło... Szukajcie, mówi, jeżeli Boga kochacie, szukajcie, a to, mówi, całemu światu wielka bieda będzie... Rozboje będą, mówi, złodziejstwa, grabieże będą... to i to będzie... A jak jego kto złapie, to zaraz do turmy odstawim, mówi... Już teraz, mówi, nie sto pletni, jak wprzód, ale dwieście jemu wsadzą za to, że drugi raz uciekał... w kajdany mocne, żelazne okują i na calutkie już życie do katorgi zaprzęgną... ot jak!

Nikt nie poruszał się i nic nie mówił. Mogło się zdawać, że przez tę spokojną, ciepłą, ludną izbę

przeplętnęło ponure widmo, z głową potępieńca i krwią ociekającymi plecami. Nakoniec Mikula wyprostował się, fajką o brzeg stołu uderzył, popiół z niej otrząsając i z ręką wyciągniętą ku leżącym na stole, przez syna z jarmarku przywiezionym pieniądзом, wymówił:

— Sprawiedliwie! tak szelmom wszystkim robić trzeba. Niechaj nie dokazują, cudzego nie ruszają, niewinnej krwi nie marnują, bo tego zabronił nam Pan Bóg *najwyszejszy*, a wszystkim niewinnym ludziom od niesprawiedliwości i krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinno. Hodzi! — kilka zmiętych asygnat za koszulę włożył i po wszystkich obecnych, po synach, synowych, córce i wnuczkach wodził błyszczącymi oczyma, które w tej chwili przybrały wyraz surowy i twardy. Grube zmarszczki falowały mu po szerokiem czole, w całej postaci malowała się wyraźnie myśl, której jednak nie wypowiadał, że gdyby ktokolwiek z tych, na których patrzył, wstąpił na taką drogę, po jakiej szedł *tamtę*, u samego jej początku pierwszy i nieubłagany opuściłby na niego tę wielką, żylastą, z bronzu zda się wykutą swą rękę...

— Hodzi! — wymówił i po worek z tytuniem sięgał.

Wszyscy milczeli. Wiedzieli, że ilekroć stary wyraz ten wymówi, wszelkie spory i sprawy rodzinne i inne stanowczo rozstrzygniętymi zostają. Aleksy bat oparł o ścianę, do żony zbliżył się i pochylony jedną ręką po plecach ją głaskał, a palcem drugiej wodził po uśpionej twarzy i czerwoną czapką okrytej głowie niemowlęcia. Bednarz posunął heblem po nawpół wygładzonym zębem brony; kołowrotek Ha-

nulki załurkotał; gospodyni garnek z gorącą wodą z komina wyjmowała...

Drzwi skrzypnęły, do izby wpadł naprzód, ujadając i warcząc, nasrożony, zjeżony, kudłaty kundel, a zaraz potem ozwało się przy progu wymówione pozdrowienie.

— Niech będzie pochwalony...

Głos, który je wymówił, gruby był, ochrypli i czuć w nim było przyśpieszony oddech.

— Na wieki wieków... — chórem odpowiedzieli przytomni. Mikuła z dłoni czyniąc sobie daszek nad oczami, ku drzwiom spoglądał; gospodyni oczy od ognia odwróciła; hebel bednarza i kołowrotek Hanulki umilkły znów.

— Panie gospodarzu i pani gospodyni — mówił u progu głos gruby i ochrypli — podróżny jestem i łaski waszej proszę. Pozwólcie godzinę w cieplej chacie posiedzieć; ogrzeję się i dalej pójdę... długo wam nie dokuczając...

— Prosim! wejdźcie sobie i posiedźcie — odpowiedział stary.

— Czemu nie? wejdźcie, bądźcie łaskawi i ogrzejcie się — grzecznie zaprosiła gospodyni.

W szeroki pas światła, od ogniska padający, wszedł człowiek rosły, barczysty, lecz bardzo chudy, w ubraniu, składającym się z wysokich butów, wsuniętych w nie spodni z grubego sukna, i dość cienkiego, na jednym ramieniu szeroko rozdartego surduta. Do podróżowania w wietrzną noc zimową ubiór ten nie był stosownym; to też od chłodu może twarz jego bardzo wydłużoną i kośćmi policzków sterczącą okrywała bladość, przypominająca cienki żółtawy papier. Do zmiętej bibuły podobnem było jego czoło

wysokie, powiększone jeszcze małym wyłysieniem, na którym pobłyskiwały rudawe włosy. Rudawy wąs ocieniał mu wąskie usta; podłużne oczy, źrenicą tak szafirową, że zdawa uwagę ta ich barwa zwrócić musiała, szybkim, wszystko zda się odrazu widzącym spojrzeniem ogarnęły całe wnętrze izby.

— Siadźcie, bądźcie łaskawi, odpocznijcie! — od komina nie odchodząc przemówiła gospodyni. — Jasiu! — na syna zawołała — podaj panu stołek!

Nazywała go panem, bo surdut miał na sobie, a chociaż u progu przemówił tym językiem, jakim w tej chacie mówiono, znać było, że nie posługiwał się nim zwyczajnie.

Usiadł na stolku, gruby kij z żelaznem u końca okuciem pomiędzy kolanami umieścił i silnie zatarł długie, czerwone, z grubemi palcami ręce. Podniósł przytem twarz i uśmiechnął się tak, że wyglądał w pół bezmyślnie, w pół wesoło.

— Oj, zimno, zimno — zajęczał — i głodno! — dodał, ale żartobliwość z twarzy mu nie zniknęła. Możliwość myśleć, że skarży się żartem.

— *Wiater* dziś taki, że nie daj Boże — zauważył Aleksy.

— Chcecie jeść? — głowę z nad roboty podnosząc i ciekawie na przybyłego patrząc, zapytał bednarz. Znów ręce zacierać zaczął.

— Zjadłbym, pewno że zjadłbym sobie, gdybym co miał, ale na drogę zapasu nie wziąłem.

Uśmiechał się żartobliwie, na podobieństwo kpiarza, który towarzystwo zabawić i wesołością swą ująć dla siebie pragnie, ale ochryply głos skrzypiał jak nienasmarowane koło wozu, a wzrok chciwie w głębi komina tonał.

— Dwa dni w drodze — zaczął znów — gdzieś pamięć mi w głowie zamarzła, czy co? już dwie *nie-dziele* w drodze... Idę, taj idę, taj szukam, czego nie zgubiłem i nie wiadomo tylko, czy znajdę... cha, cha, cha, cha!

Mówił głośno, jeszcze głośniej śmiał się, kij wysunął się mu z pomiędzy kolan i upadł na ziemię; schylił się i podniósł go z niezmierną gibkością i szybkością ruchów. Wszyscy milczeli. Nikt tu, prócz ojca rodziny, rozkazów żadnych nie wydawał. Mikuła obojętnie na przybyłego patrzył, a potem zwolna ku starszej synowej głowę zwrócił.

— Katarzyna! *majesz szto iści?* jeżeli masz, to gościa *potrachtuj*...

— *Tolkanica* z makiem *je* — odpowiedziała.

Stary otoczył się kłębem dymu.

— Zdaleka? — zapytał.

Gość z wytężeniem na niego patrzył.

— Z Prus — odpowiedział,

— Pewno do jakiej *chfabryki*, bo najwięcej *iemców* do *chfabryk* idzie...

— Pan *Niemiec?* — cienkim głosem i z nadzwyczajną ciekawością zapytało piętnastoletnie chłopię.

— Ja nie Niemiec, ale z Niemiec idę... do fabryki idę, gdzie płócienniki robią, bo słyszę, zarobek dobry... a niedaleko ztąd, słyszę, koszary budują... może tam najmę się, bo i mularstwo znam... byle zarobić byle żyć...

— Oj, to prawda! biednemu człowiekowi byle zarobić, byle żyć! — z głębokim zrozumieniem potwierdziło parę głosów.

Krystyna postawiła na stole misę, pełną kartofnej kaszy, szarej, od przymieszanego do niej maku,

zastygłej i tak stwardniałej, że ją nożem krajać było trzeba. Położyła też przy misie nóż i spory kawał czarnego chleba. Kiedy chodziła po izbie, ruchy jej były poważne, twarz spokojna, głowę ciągle dumnie trochę podnosiła. Może przewodniczące jej położenie w ludnej chacie, może zgodne pożycie z mężem i szczęśliwe macierzyństwo oblekały ją cechami powagi i osobistej godności. Była też grzeczną.

— Jedzcie, bądźcie łaskawi — zapraszała gościa.

Długie, chude, czerwone jego ręce pochwyciły naprzód chleb i do ust go podniosły, lecz niespokojne oczy zdawały się jeszcze czegoś szukać po stole.

— Nie gniewajcie się, panie gospodarzu... ale zmarłem jak kość... żeby można dostać kieliszek wódeczki... wódeczki!...

Żarłocznie chleb przeżuwał, znów gestem wesołego kpiarza ręce zacierał.

— Czemu nie można? można! — spokojnie odrzekł gospodarz. — Krystyna, daj wódki!

Bednarz głowę z nad roboty podniósł, oczy mu chciwie błysnęły. Krystyna przyniosła butelkę i kieliszek z grubego, zielonawego szkła, który gospodarz w połowie napenił i do ust go niosąc, ku gościowi głowę skłonił.

— Na zdrowie! — rzekł i wypił powoli, prawie po kropli.

Kiedy gość brał napelniony po brzegi kieliszek, grube palce jego drżały.

— Na szczęście! — odpowiedział i odrazu z chciwością sporą miarkę trunku w gardło sobie wlał.

Bednarz patrzył na starego i nieśmiało trochę po butelkę sięgał. Stary milczał. Bednarz więc wypił i butelkę ku bratu wyciągnął.

— Aleksy, *piej!*

— *Nie chcę, nie budu pici*, żonka zabroniła! — odmówił młody chłop i na całą izbę głośnym śmiechem parsknął. — Dalibóg zabroniła! — mówił dalej — jak przyczepiła się do mnie: nie pij Aleksy i nie pij! Kiedy mnie choć troszkę lubisz, kiedy Boga *najwyższego* boisz się, nie pij! Przysięgnij, że nie będziesz pić, przed krzyżykiem przysięgnij! Widzę ja, że nijak nie odczepię się od babskiego języka, wziąłem, taj przysiągłem i już musi rok będzie, jak wódki nie pokosztowałem.

— Może ja łgę, Jelenka, a? czy ja łgę?

Młoda kobieta, w serdecznym śmiechu białe zęby ukazując, ręką po twarzy go pogładziła.

— *Kab ty skis*, kiedy ty przez moje gadanie pić przestał?... sam wielki taki wyrósł, to i rozumu nabrał...

Baba wstała z niecek, do stołu podeszła i na butelkę patrzeć zaczęła.

— *Piej!* — rzekł do niej stary.

Z kieliszkiem w rękę pokłoniła się wszystkim dookoła i wypiwszy, rękawem koszuli zapadłe usta otarła.

Gość wlepił w nią oczy tak, jakby rysy jej rozpoznawać usiłował. Ogromne kawały kaszy pożerał, okruchy jej z garści do gardła wsypywał, a w miarę tego jak głód zaspakajał, coraz ciekawiej i uporzyczywiej przypatrywał się wszystkiemu i wszystkim. Chwilami zdawało się, że czegoś lub kogoś wzrokiem szukał. Spoglądał na tapczan, potem na szczyt pieca, potem znów na tapczan. Nagle zapytał:

— A żonka wasza, panie gospodarzu, żyje?

— Już dawno umarła... z dziesięć roków już będzie jak umarła... — zagadała baba, wypitą wódką

skrzepiona i ożywiona... — tego samego lata umarła, jak mnie ze dworu odprawili... wtenczas mnie Szymon do swojej chaty przytulił; niech jemu Pan Bóg *najwyższy* za to we wszystkim dopomoże... Krystynie w gospodarstwie pomagaj, powiedział...

— Umarła — przerwał gość, a znieruchomiałe jego oczy tkwiły znów w twarzy rozgadanej baby; — a wam, matko, Nastula na imię... we dworze gospodynią folwarczną byliście...

— A toż! — z uradowaniem wykrzyknęła baba.

— A zkądże wy o tem wiedzieć możecie? — zagadnął Aleksy.

Ale przybyły pytania tego nie usłyszał, czy na nie odpowiedzieć nie chciał. Po ścianach teraz oczami wodził.

— Dawnoście, panie gospodarzu, tę chatę zbudowali?

Powoli, obojętnie Mikuła odpowiedział, że chatą jest starą, lecz tylko niedawno podniósł ją trochę, przegniłe zręby nowem drzewem zastąpił, większe okna wyciął.

— Ja też patrzę, że izba jakby niezupełnie ta, co była...

— Alboż byliście tu kiedy? — zapytał bednarz.

Nie odpowiedział znów. Jeść nie przestając, oglądał się dokoła. Na bednarza i na Aleksego długo popatrzył i nagle jakoś rzekł:

— Ot jak. Starej już niema! — A po chwili dodał: — I Jaśka już niema!

— Jakiego Jaśka? — fajkę od ust odejmując i bystro na gościa patrząc, zapytał stary.

— Ot, jakiego! — zaśmiał się gość; — a toż waszego trzeciego syna, panie gospodarzu!

— Czy wy tutejsi, że tak wszystko wiecie? — zagadła Jelenka.

— *Musi* byliście tu kiedy? — z za czerwonych powiek wlepiając w niego spłowiąte, ale ciekawe oczy, przemówiła baba.

— Widać ze wszystkiego, że wam tu być nie pierwszozna — ozwał się Mikuła.

Tak obłączony pytaniami, przybyły zrazu twarz ku stołowi pochylił, a potem z głuchą jakąś złością mruknął:

— No, byłem, byłem... to i co, że byłem!

W mgnieniu oka jednak złość, czy niecierpliwość poskromił i obojętnie mówił:

— A byłem tu... za robotnika najmowałem się wtedy, kiedy nowy dwór budowali... przy budowaniu nowego dworu pracowałem...

— Dawno to już było, może ze dwadzieścia lat temu—zauważył Mikuła.

— Więcej niż dwadzieścia—poprawił gość.

— Nie żart, jak wtenczas dużo cudzych ludzi do tego budowania przychodziło... — zauważył bednarz.

— A dużo. I ja przychodził...

Stary uważnie na gościa popatrzył.

— Cościś mnie mroczy się w oczach... albo zdaje się, że was znam... albo zdaje się, że nie znam...

— Jak Boga kocham — zagadła baba—*kab* ja z tego miejsca nie wstała, kiedy i mnie nie tak samo... albo zdaje się, że was znam..., albo zdaje się, że was nie znam... *Musi* wy kiedy ze mną rozmawiali, jak przy budowaniu nowego dworu byli..

Przybyły uśmiechał się i z dziwną uporczywo-

ścią patrzył na jej wyschłe, pomarszczone, jak wosk żółte ręce.

— Oj, rozmawialiście ze mną, matko—zaczął— rozmawialiście nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy... oj, przynosiliście mnie w tych rękach swoich chleb nasmarowany miodem albo masłem, któreście z pańskiej spiżarni pod sekretem brali... cha, cha, cha, cha!—Śmiał się głośno, z podniesioną twarzą, a oczy mu gorzały, jak dwa rozżarzone węgle.

— *Kab* mnie dziś w nocy *uduszyło*, kiedy pamiętam!... Nie pamiętam... czy ja z wami rozmawiała, czy nie rozmawiała, czy wam kiedy chleb dawała, czy nie dawała, *niczego* nie pamiętam... tylko mnie zdaje się, że albo was znam, albo was nie znam... *taki* znam! *taki* nie znam!... a! co to takiego?

Dwie pary oczu: jedna bystra i przenikliwa, z pod siwych, obwisłych brwi spoglądająca, a druga spłowiata, od ciekawości polyskująca i żywo biegająca pod czerwonymi powiekami, wpatrywały się w przybysza, który zaniepokoił się, znów ręce zatarł, bezmyślnie rozśmiał się i ze stolka powstawszy, szerokimi krokami do komina poszedł. Tu, w całej wysokości swej wyprostowany, ręce za plecy założył i wzrok spuścił ku dziewczynie, która przy zbliżeniu się jego prąść przestała i w zalęknieniu, czy w zawstydzeniu ręce na kolana opuściła. Ze spuszczonego ku niej wzrokiem przemówił:

— A ty córka gospodarza?

Odwracając od niego twarz zarumienioną, szepnęła:

— Ale! córka.

— *Musi* najmłodsza? *Musi* tobie dwudziestu lat niema...

— A niema...

— A starsza siostra, Maryśka, żyje, czy umarła?

— Żyje...

— Za mąż poszła?

— Poszła...

— Gdzież ona? w tutejszej wiosce?

— W Dubrowlanach... w mężowskiej chacie siedzi...

— Aha! w mężowskiej chacie... we własnej chacie... to dobrze... Ach, ach, ach...

Jak powiew wiatru, westchnienie gwałtowne i krótkie pierś mu podniosło. Zamilkł.

Przy długim stole rozmawiano. Piętnastoletni Jasiak swawolnie przekomarzał się z babą, że potajemnie drugi kieliszek wódki wypija, ona, uderzając się pięścią w pierś, krzyczała:

— *Breszesz*, jak pies! *Kab* mnie *chwołera* porwała, kiedy wypiałam!

Bednarz mówił coś do żony, z pod ściany kołowrotek biorącej. Jelenka śmiała się głośno z kłótni Jaśka i baby. Jedne tylko tam usta milczały, powoli ciągnąc dym z krótkiego cybucha i jedna para oczu, z za przezroczystego dymu, z pod siwych, obwisłych brwi ciągle, przenikliwie patrzyła na stojącego przed kominem gościa.

Wtem, nad gwarem podniósł się donośny, pewnością siebie brzmiący głos Aleksego. Bokiem do stołu przyparty, szeroko rozłożył się on na zydlu i z głową mimowoli jakby, lecz zawsze podnoszącą się hardo, ku gościowi zawołał:

— A o Baku nie słyszeliście tam czego, po świecie chodząc, ha?

Wszyscy umilkli, odpowiedzi ciekawi, ale i gość

przez dobre pół minuty milczał. Potem spokojnie odpowiedział.

— Czemu nie słyszałem? słyszałem. Cały świat o nim tylko teraz gada.

— A gadają, nie daj Boże nikomu, żeby tak o nim ludzie gadali! — zawołał młody chłop. — A jak myślicie, złapią jego, czy nie złapią?

— Może złapią, może nie złapią...—flegmatycznie odpowiedział gość.

— Dobrze byłoby, żeby złapali, a to pisarz mówi, że jak, broń Boże, nie złapią, wszystkim bieda będzie... rozboje, mówi, będą, grabieże będą, to i to, mówi, będzie... Co to, szelma taki, jeżeli na wolności zostanie, czy mało jeszcze biedy ludziom narobi...

— *Czort* jego złapie, kiedy on taki mądry—wykrzyknął bednarz, którego drugi kieliszek wódki trochę rozchmurzył; — dwa razy uciekał... to i teraz uciec potrafi...

— Już to mnie największa ciekawość, jak on mógł wtenczas, dziesięć lat temu, z turmy uciec. Już nie raz i nie dwa razy w mieście był i turmę widział... Mury takie, o Jezu! żołdacy ze *sztykami* wszędzie... ptakiem trzeba być, nie człowiekiem, żeby wylecieć ztamtąd... A on wyleciał... *Kab jeho...* ot mądry! Ścianę zębami przegryzł, czy co?

— Ej nie—krótko wymówił gość.

— A jakże? Bo żeby i kratę żelazną rozpiłował, toby przez okno wyskoczyć nie mógł... przez takie wysokie okno... jakby na kamienie z trzeciego piętra buchnął, toby mu odrazu dusza z ciała uciekła...

Teraz, stojący przed kominem człowiek, z rękami wciąż za plecy założonymi, swobodnie kołysać się zaczął w obie strony, zlekka przestępując z nogi

na nogę. Było w tem poruszaniu się coś, co miejskiego dandysa przypominało. Z góry patrzył na przemawiającego doń młodego chłopca.

— On nie wyskakiwał przez okno, ale wyleciał...—z drwiącym uśmiechem przemówił.

— Chyba na tych skrzydłach, które mu *czort* przypiął—obruszył się bednarz.

— Nie na skrzydłach on wyleciał...

— To może na wiedźmowej łopacie...—zażartował Aleksy.

Kobiety i niedorośli Jasiak zawtórzyli jego śmiechowi.

— Na parasolu—wyrzekł gość.

Wszyscy umilkli. On kołysał się przed kominem jeszcze swobodniej i po wszystkich obecnych z góry wzrokiem wodził. Może tak fanfaroni uliczni chełpią się przed zebraną w szynku publicznością wyższym stopniem swej uczoneści i biegłości w światowych sprawach.

— Głupstwo—mówił—dla niewiedzącego, to zdaje się cud, a dla wiedzącego głupstwo! Ot jak on zrobił, ten Bąk, który z turmy uciekał...—Wziął swój kij, który przedtem, tuż przy sobie w kominie był oparł i odpowiednio nim gestykulując, opowiadał:

— Wziął parasol, wielki taki parasol, rozpiął go, w dół ot tak obrócił, i razem z parasolem, ot tak, hyc przez okno... Żeby bez parasola, toby na łeb, na szyję zleciał i kark złamał... ale parasol spuszczał się w dół pomaleńku, pomaleńku, bo wiatr jemu prędko zlatywać nie pozwalał, aż spuścił się do samej ziemi... a Bąk tyle tylko, że jak długi wyciągnąwszy się na bruku, nosem o kamień uderzył... Z nosa krew pociekła i kości okrutnie zabolaty, ale co

tam! za pas nogi wzięwszy, hajda w świat! Trzy lata potem jego szukali. Parasol pod turmą zaraz znaleźli, a jego trzy lata darmo szukali... cha, cha, cha, cha!

Przy tem opowiadaniu cała jego długa, koścista twarz zajaśniała doskonałą, dziecięcą prawie wesolnością. Wyglądał jak niedorosłe chłopię, które z filuterną przekorą opowiada o popełnionej psocie.

Obecni w zdumieniu podnieśli twarze i potwierdzali usta. Wśród ogólnego milczenia głos gruby i surowy z za kłębow dymu wymówił:

— A wyż zkad wiecie, jak to było?

— *Hetoż prauđa?* zkad wy wiecie?—zawtórzyło pytaniu parę głosów.

Jakby w natarczywości tych pytań niechętnie dla siebie wyzwanie usłyszał, zuchwale głowę podjął i z pod brwi, które zbiegły się groźnie, rozplonionem okiem dokoła powiódł.

— A wiem! to i co, że wiem! rozumnego gadanie głupiemu dziw... Aaaa! gęby potwierdzali... zkad wiem? Albo to ludzie języków nie mają i nie opowiadają... opowiadali, a ja słuchał... Pfuj!

Splunął i nagle zaniepokoił się znów, zmąconym wzrokiem dokoła rzucił, na kij swój spojrzął, ręce zatarł. Aleksy hardo w twarz mu patrzył.

— Cościś wy, panie—zaczął—bardzo już dużo o tym Baku wiecie. Może wy kiedy jego i widzieli?

Lekceważąco ramionami wzruszył.

— A gdzie ja jego mógł widzieć? Nie widziałem. Z Prus idę... więcej jak dwadzieścia lat w tych stronach nie byłem.

— To szkoda, bo żebyście go widzieli, tobyście nam powiedzieli, jak on wygląda... Łatwiej byłoby

złapać... Oj, złapałbym ja go, złapał z wielką ochotą i wprzód nimby policya dowiedziała się o nim, samby mu kawał skóry z pleców zdarł...

— Pi, pi, taki młody a jużby ludziom skórę z pleców zdzierał—uśmiechnął się przybyły.

— A kiedyż on rozbójnik!—zrywając się z ławy krzyknął młody i sierdzysty chłop;—sam pisarz dziś mówił: kramy odbijał, mówi, pieniądze *chfalszował*, a już najgorsza rzecz, mówi, że troje ludzi ze spółnikami swymi zabił... czy to bestyi takiej żałować? Oj, oj, i jakbym ze skóry łupił!... niech drugich nie *ubija*...

— *Cicho! cichocie* Aleksy! *Nie kryczy tak!*—ciągnąc za połę rozpiętego kozucha, uspakajała męża młoda żona. Bednarz ręką z heblem w powietrzu zamachnął.

— *Kab* jemu tak dobra na świecie nie było, jak on niewinnych ludzi pogubił...

— Oj—jęknęła Hanulka—jeszcze i teraz może rozbijać zacznie...

— Pewno, że zacznie...—zagadnęła baba—co to, rozbójnik taki, w krwi ludzkiej wykąpany...

— *Kab jemu kości pokruciło... Kab jego paralusz naruszył...*

— Czy zacznie, czy nie zacznie—ponuro odezwał się bednarz — a łapać jego trzeba, bo jeszcze *szajkę* sobie dobierze i konie będzie kraść...

— Niedoczekanie jego!—zawołał Aleksy—będzie on konie kradł, jak kat jemu dwieście pletni w plecy wsadzi...

— Aj, aj—piskliwie wrzasnęła Hanulka.

— A tobież co?—obruszył się Aleksy, ale zaraz

spojrzał na żonę, która całą swą szczupłą kibić na-przód podając, lamentowała także.

— Oj, oj, oj! a! a! oj, oj!

Stara Nastula wyschły policzek na dłoni oparła i głośno wzdychała:

— Bożeż mój, Boże, oj, Bożeż miłosierny...

Piętnastoletni Jasiiek stał jak skamieniały, z oczami wytrzeszczonemi, aż obydwie ręce do ust przyłożył i trzęsącym się głosem zahuczał:

— Hu, hu, hu, hu!

— Ot przelekli się, że rozbójnik pletniami dostanie!—zaśmiał się Aleksy.

Przybyły nie stał już teraz w tak wyprostowanej, jak wprzódy, postawie. Kiedy Aleksy pierwszy raz wspomniął o pletniach, widać było jak pod cieniem sukna podartego surduta łopatki jego poruszać się zaczęły i powoli podnosiły się w górę; kark zaś, jakby pod nagłem uderzeniem w dół, opadł i broda dotknęła piersi.

— Ciekawość, czy szelma wytrzyma?—mruknął bednarz

— Ojej! i jak wytrzyma! — twierdził Aleksy; — jeszcze potem w łańcuchach na koniec świata pójdzie, a jak przyjdzie tam, gdzie jemu być *przykaza*, to od rana do nocy młotem pod ziemią będzie walił, albo taczki ciągał...

— Oj, biednyż on, *taki* biedny! — westchnęła Jelenka izymane w ramionach niemowlę mocniej do piersi przycisnęła.

— Oj, na co jemu było na ten świat przychodzić? Na co Pan Bóg *najwyższy* na ten świat jego *czysła*? — wzdychała Nastula.

— Jaby, zdaje się, nie wytrzymała... wzięłabym, tajbym się utopila... — prawila Hanulka.

Krystyna z nad statków, które myła, wyprostowała się, ramiona znów u piersi skrzyżowała i wysoka, silna, kształtna, ciemnymi oczami w ogień patrzyła. Piękne jej usta kurczyły się trochę i zsunęły się ciemne brwi. Kiedy wszyscy umilkli, odezwała się głębokim basowym głosem:

— *A taki i tego* kiedyści matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

Przybyły nagle ku niej się zwrócił. Długo na nią patrzył, aż pochylił się prawie ku samej jej twarzy i grubym, świszczącym szeptem wymówił:

— Pilnujcie wy dobrze swego synka, oj, dobrze swego Jaśka pilnujcie, żeby on nigdy takim nieszczęśliwym nie był...

Kobieta ze zdziwieniem i trochę z przestraczem głowę odgięła, ale gość prędkim ruchem zwrócił się w inną stronę izby, w tę stronę, gdzie pod ścianą za stołem siedział gospodarz chaty, Mikuła, milcząc dotąd; zwyczajem jego snąć było, że wszystkim wprzódy mówić pozwalał, a potem zdaniem swoim spór lub rozprawę rozstrzygał i kończył. Rękę z fajką w powietrzu zawiesił i powoli, spokojnie przemówił:

— Sprawiedliwie. Nad takim i Pan Bóg *najwyszejszy* litować się nie przykazał. Sprawiedliwie. Już nam te *koniokrady*, grabieżniki, *chfałszownicy* i inne szelmy dość nadokuczali. Czyto niewinne ludzkie na to harują, żeby oni ich dobrem, a broń Boże i krwią, karmili się i poili? Niewinnym ludziom od wszelakiej krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinny, a żeby dla takich ciężkich grzechów nijakiej kary nie było, nie *możno*, nijak nie *możno*. *Hodzi*.

Przybyły wpatrywał się w mówiącego i słów jego słuchał z takim wyteżeniem, tak chciwie, że aż wargi jego rozwarły się i zeszywniały rysy, a tylko powieki nad znieruchomiałemi źrenicami prędko, prędko mrugały. Stary umilkł, a on jeszcze kilka sekund patrzył, słuchał, jakby słowa jakiegoś jeszcze niewymówionego oczekiwał. Nakoniec koścista twarz w ogniu mu stanęła, namiętny błysk strzelił ze źrenic. Ręką machnął.

— *Hodzi!* — powtórzył i zaśmiał się krótko, ostro. — Dobrze wam, panie gospodarzu, mówić *hodzi!* Ale czy temu, kogo, jak dziką bestyę po świecie gnają, aby dognawszy, na gorzkie jabłko zbić, a potem do katongi zapędzić, *hodzi*, czy nie *hodzi?* to już on tylko w swojej duszy wie, świat, ludzi i dzień urodzenia swego przeklinając! Każdego człowieka nieszczęście spotkać może i żadna matka nie wie, kogo tam... na rękach swoich kołysze...

Przelotnie na Krystynę i na Jelenkę spojrział, zachłysnął się, ślinę głośno przelknął, umilkł.

— Każdego nieszczęście spotkać może — spokojnie i powoli odezwał się Mikuła — ale taki *najgorszejszy*, który drugiego człowieka ubija...

— Najgorszy, najgorszy! — powtórzył — a wiecież wy, panie gospodarzu, że najgorszość czasem blisko, oj, jak bliźutko najlepszości leży... i żeby nie zdarzenie jakie, albo tam... różności, co ich wszystkich przeliczyć trudno, możeby zamiast tej najgorszości była najlepszość...

W gardle mu zaschło. Szerokimi krokami ku stolowi podszedł, kieliszek wódką napełnił, jednym haustem ją przelknął i do komina wrócił.

— *Hodzi!* — zaczął znów, ciągle ku staremu

Mikule zwrócony — dobrze wam mówić, *hodzi!* A czy wy wiecie, jakim sposobem ten Bąk, którego teraz jak dziką bestyę ścigają, żeby go na gorzkie jabłko zbić, pierwszy raz w biedę wpadł? Może pierwszy raz w biedę on wpadł za takie głupstwo, że i plunąć nie było na co, a bieda trzęsie tego, kto na niej jedzie... Oj, panie gospodarzu, jak trzęsie! tak, że czasem w człowieku duszę podszewką do góry przewróci! Wszelka dusza ludzka ma podszewkę, tylko, że u jednego wyjdzie ona na wierzch, a u drugiego nie wyjdzie... ot co!

Znów podszedł ku stołowi, ale wódki już nie pił. Machinalnie wyciągnął rękę ku butelce, lecz nie dotknąwszy jej, znów do komina wrócił. Nozdrza jego rozdymały się i poruszały, brwi podnosiły się, to opadały; natura gwałtowna, zuchwała, zgorzkniała tryskała mu z oczu ponurym ogniem, piersi podnosiła szybkim oddechem. Śmiał się jednak, przed kominem znów stojąc.

— *Hodzi!* — powtórzył jeszcze, jakby ten wyraz, z ust starca wyszły, utkwiał w nim jątrzącym ostrzem. — Żeby to tym wszystkim dyabłom, które duszą ludzką targają, każdy miał moc powiedzieć *hodzi!* i żeby już one tak, od tego jednego słowa i uciekły! U jednego te dyabły śpią, a w drugim obudzą się i na potępienie prowadzą. A czy wy myślicie, panie gospodarzu, że jak dyabły duszę ludzką na potępienie prowadzą, to jej ktokolwiek wybawić się od nich pomoże? cha, cha, cha, cha! słomki nikt nie poda, żeby człowiek za nią ucześcić się mógł i z jamy wyleźć. Kiedy człowiek pośliźnie się i jak świnia w gnój wpadnie, czy jest na świecie kto taki, coby zlitował się i na suche pole go wyprowadził?

Ho, ho! nikt i nie obejrzy się, a jeżeli obejrzy się, to na to tylko, aby nogą popchnąć? Czasem i samemu smród obrzydnie... uciekać od niego zażąda — gdzie tam! nie pozwolą! Huż ha! Jak charty lisa gonią aż dogonia, nazad w smród zapędzą, i targają, męczą, dopóki znów do krwi kąsać nie zaczniesz! A co ma robić? Kiedy wojna, to wojna! Kiedy przepadać, to już wprzód dobrze najadłszy się i napiwszy, a choć i łeb cudzy roztrzaskać, to co? I tak zgubienie, i tak zgubienie... Niechajże przynajmniej wrogi popamiętają... a kto wróg? cały świat wróg, kiedy nikt ratować ani myśli... a każdy zgubić żąda...

Znów ku stołowi, ale już ze skrzyżowanymi ramionami poszedł i trochę naprzód pochyłony, Mikule w twarz spojrzął. Stary od paru minut już całą górną część swego potężnego ciała naprzód pochylił i na gościa swego tak przenikliwie patrzył, że aż ręka, trzymająca fajkę, na ławę mu opadła. Teraz oczy ich po raz pierwszy spotkały się w długiem spojrzeniu; głos gościa urwał się, jak rozerwana struna. Odwrócił się, znów przed kominem stanął, ale nozdrza poruszać się mu przestały i znacznie ciszej niż przedtem mówić zaczął:

— Czy to właśnie każdy odrazu już do głębokiej jamy wleci? Nie każdy. Może i ten Bąk nie odrazu ludzi zabijał. Ot ciekawość, jaka to jego historia? Gdzie on urodził się i w jakim to miejscu matka to jego na rękach swoich nosiła i kołysała? *Musi* on wtenczas jeszcze rozbójnikiem nie był, *musi* on po jakiejś drabinie schodził, póki zeszedł aż tam, zkąd już ani Bóg, ani dyabeł jego nie wyciągnie. Nie wiem tam, co on takiego robił, nim ludzką krew rozlał, ale słyszę jak rozlał, samego siebie zląkł się

i z turmy uciekłszy do *chfabryki* pracować poszedł. Czy dali spokojnie pracować?... Nie dali. Złapali i znów w smród zagnali... Znów uciekł, a uciekając, jak jemu kto na drodze stanął, może i drugi raz, czy ja wiem? krew ludzką rozlał... Ale potem slysze w *chfabryce* dwa lata znów spokojnie przesiedział... Bardzo już może zląkł się i siebie samego, i tej kary, co jego czekała... Albo to kto dowiadywał się, co on tam sobie myślał i zamierzał? *Czort* chyba do niego dowiadywał się... więcej nikt...

Dotąd wszyscy w milczeniu, zaciekawieni i zdziwieni, sluchali mowy jego zuchwalej i namiętnej zrazu, a teraz coraz więcej żalonych nut przybierającej. Ale Aleksy dłużej już milczeć nie mógł.

— Ej, ej! panie! — zawołał — coś wy już *nadto* bronicie rozbójników!

Gość wyprostował się znów i młodemu chłopu w same oczy spojrział.

— Oj, oj! — z szyderstwem w głosie i poruszeniem głowy odpowiedział; — w ciepły kożuch wlaź i kontent, że mu dobrze! A nad takim, z którego i skórę zaraz zedra, żadnego już zlitowania mieć nie trzeba? Stary Mikula fajkę od twarzy odjął, krzaczyste brwi zsunął i twardo, krótko, srogo wymówił:

— Nie trzeba?

Możnaby myśleć, że dwa te wyrazy gościowi w twarz rzucił i że on uderzenie ich poczuł, tak szybko całem ciałem zwrócił się ku staremu i z cichym śmiechem, parę szerokich kroków uczyniwszy, tuż przy nim usiadł.

W tej chwili drzwi izby skrzyknęły znów, parę osób weszło i przy kominie wszczęły się rozmowy. Ale przybyły zdawał się wcale tego nie spostrzegać,

na stolku tuż przy gospodarzu usiadł, szerokiemi, ale kośćmi chudych łopatek, sterczącemi z pod surduta, plecami ku izbie się zwrócił i łokciem szeroko na stole oparty, twarz swą ku twarzy starego pochylił. Blizko nich nikogo nie było: Jelenka z dzieckiem, które obudziło się i zapłakało, pod przeciwległą ścianą usiadła, Aleksy halaśliwie wiódł rej przy kominie, bednarz u przeciwnego końca długiego stołu nożem coś około zęba brony robił. Tylko stara Nastula, w której bezzębnych ustach niepostrzeżenie dla wszystkich ze trzy czarki wódki zniknęło, pośpiesznym ruchem wsunęła się tuż prawie pod ramię przybyłego i z chciwą ciekawością ucho ku niemu pochyliła. Wkrótce też usłyszała półgłosem wymówione słowa:

— Panie gospodarzu, a co z waszym Jaśkiem słyhać?

— Z jakim Jaśkiem? — szorstko odrzucił stary.

— A z trzecim waszym synem... Dwóch tu jest, a trzeciego nie ma... czy wy już o nim ze wszystkim zapomnieli, panie gospodarzu?

Za plecami pytającego dłonie jakieś głośno splasnęły i babski piskliwy głos zagadał:

— *A kab ja* wieku swego nie dożyła! *Kab* mnie język w kół się obrócił! *Ka'* mnie ręce jak te gałęzie wierzby—powykręcało, kiedy ja o nim zapomniała, o Jaśku moim najmilszym, o sokoliku moim biednieńkim... Toż ja jego, kiedy on na świat rodził się, od matki przyjmowała, toż ja jego na rękach swoich nie raz i nie dziesięć razy nosiła... swoich dzieci nie miała, ale jego miała i polubiła, jak rodzimeńkiego synka...

Głowa baby, czerwonym czepcem oblepiona, z kosmykami białych włosów na pomarszczonem czole, z policzkami od wódki zarumienionemi, trzęsła się

i w obie strony kołysała tuż nad ramieniem przybyłego, w samo prawie ucho rzucając mu gorące i wódka cuchnące oddechy. On głowę nieco w tył odgięta na rękę opierał, z przymrużonemi oczami zawodzenia jej słuchając. Ale wkrótce przerwał je pytaniem:

— To wy, panie gospodarzu, ze wszystkim już Jaśka nie pamiętacie? Onże wasz pierwszy był... najstarszy...

Jakby przemocą z milczenia wyrwany, stary chmurnie odrzekł:

— Czemu nie pamiętam? Pamiętam... a wyż jego dobrze znali?

— Oj, i jak dobrze! Tęgi chłopiec był z niego, roztropny, śmiały...

— Nadto już śmiały—mruknął stary, popiół z fajki wytrząsając. — A wy słyszeli, co jemu wydarzyło się?

Widocznie, pomimo zachmurzenia i przenikliwych spojrzeń, które czasem na gościa rzucał, ochotę do mówienia o najstarszym synie uczuwać zaczynał. Ale stara Nastula zawiodła znów:

— Oj, wydarzyła się jemu bieda, bieduleńka! oj, *kaś* im Pan Bóg grzechów ich nie darował, jak oni jemu, młodzieńkiemu i durnieńkiemu wtenczas nie darowali! Zgubili oni jego, jak tego psa zmarnowali... *nieboszczyca* matulka jego mnie bratnicą przychodziła... a on mnie babulką nazywał...

Gość starego Mikuły zapytał:

— A cóż to jemu wydarzyło się takiego?

Stary przez pół minuty szczękami poruszał, jakby twardego coś przeżuwał. I nie chciało mu się z tym nieznanym mówić i do mówienia ochota go brała.

— Ot — zaczął — z głupstwą poszło... może on pierwszy raz i za sprawiedliwość pokutował... Proces nam Dubrowlańcy, sąsiedzi, *każ* im dobra nie było, wytoczyli... nu, mnie gromada za plenipotentą wybrała, ja do miasta jeździł i z *hadwokatem* gadał, tym znaczy, co przed sądem nas bronił. Do miasta Jaśka z sobą brałem i do *hadwokata* brałem, tak sobie bez przyczyny... Nadto już jego lubilem, a kiedy czego naparł się, to i na wszystko pozwalałem... *Każ* mnie Pan Bóg *najwyższy* za te pობлаżanie jemu nie karał...

Baba w mowę mu wpadła:

— O, lubili jego i hołubili wszyscy dobrzy ludzie i na wszystko jemu pozwalali, bo nadto mileński był i łaskawy... rączki, bywało, na szyję zarzuci i tuli się do człowieka, jak ten baranek, a oczki miał, jak te wasilki w życie...

Stary, na zawodzenie baby nie zważając, coraz już chętniej dawne dzieje z pamięci wywodził.

— Nie żart, jaki on był rozumny, ale nadto już zuchwały i ze wszystkim nie taki, jak inne chłopcy... Ani u niego robota, ani zabawa nie była taka, jak u wszystkich. Kiedy pracuje, to rwie jak koń ognisty, a kiedy hula, to tak, że i rady nie dasz. Bywało, że za szyję obejmuje i całuje, mało nie uduśi, a innym razem hardo postawi się i żeby tam nie wiem komu, jak osa rzuci się w oczy. Łajał ja jego dobrze, ale najwięcej pობлаżał... a *taki* nic złego on wtenczas i nie robił... — Zamyślił się, głową trząsał. — Na zgubienie ja jego brał z sobą do miasta i do *hadwokata*—prawie już gadatliwie mówił dalej.— Słuchał on, co my z sobą gadali, słuchał i wracając, bywało, mówi: „tatku, ja tego ubiję, kto nam niespra-

wiedliwie ziemię zabierać przyjdzie!“ Ja tylko śmieję się. Młody, taj durny, myślę. A ziemia sprawiedliwie do nas należała, ale przedawnienie zaszło i proces my przegrali, Dubrowlańcy ziemię odbierać przyszli, a my zawzięli się nie oddawać. *Nie oddamo i nie oddamo!* Całą gromadą, bywało, wyjdziem, i napastników tych, *kab* im Pan Bóg grzechów ich nie darował, przepędzamy. Dokazywali wszyscy, dokazywał i Jasiek. Nu, myślę, dobrze. Kiedy wszyscy, to niechaj i on. Aż tu na wiosnę mówią: *urędnik* przyjedzie i Dubrowlańcom ziemię oddawać będzie. Bieda! *Z urędnikiem* nie to, co z chłopami. My rękami machnęli. Niechaj będzie i tak! niechaj będzie i nasza krzywda! Pan Jezus więcej cierpiał! Ale nie wszystko my, jak potrzeba było, przeliczyli. Nie przeliczyli my tych młodych, a nadto zuchwałych, co na swój rozum brali i znowę robili... Przyjechał *urędnik*, jakiś wysoki i dwóch *nięższych* z sobą przywiózł i dawaj po polu chodzić, temu to, a tamtemu to przeznaczać i darowywać... A nasze chłopcy, jak wypadną z kosami, taj z grablami, taj z kijami... może dwudziestu ich było, a mój Jasiek przed wszystkimi, jak jaki generał... *Urędników* przepędzili...

Baba nagle w okrutny gniew wpadła. Pięścią jednej ręki o dłoń drugiej uderzyła, krzycząc:

— *Kab* jemu Pan Bóg nie darował, że on taki zuchwały był... *Kab* on wskroś ziemi przepadł, jak on siebie samego marnie zgubił...

— On już przepadł! nie przeklinajcie, babulko—ku wólpijanej babie zwracając się, sarknął przybyły i znów pilnie starego słuchać zaczął.

A stary rozgadał się na dobre. Może i nie

myślał o tem, do kogo mówi; mówił, bo go ból stary, prawie zapomniany znów za serce ugryzł, a wspomnienia o najstarszym utraconym synie mgły ubiegłych lat rozpędzały...

— Znaczy — mówił — bunt. Znaczy sprzeciwienie się władzy. Nu, do turmy ich wzięli i sąd nad nimi robili. Innych wypuścili, albo trochę tylko ukarali, a jego na trzy lata turmy osadzili... *zaczynszczyłk*, mówią. Nu, dobrze. Trzy lata nie wiek. A jemu tylko ośmnasty roczek wtedy szedł... Nie bardzo ja smucił się, że on tam trzy lata posiedzi. Rozumu, myślę, nauczy się, łagodności nauczy się...

— Nauczył się? — zapytał przybyły; — cha, cha! Cóż, czy nauczył się? A?

Stary, w ziemię patrząc, wielką głową trząśł.

— A-le! nauczył się! *Kab hetak czorci zle* dusze uczyli! Jak powrócił do domu, to i dnia spokojnego w chacie już nie było. Siądzie, bywało, i opowiada, jak złodzieje po nocy kraść chodzą i wszystkie zamki otwierają. „Na wszystko są sposoby, mówi, a ja wszystkie sposoby wiem“ albo mówi: „Ochota to ludziom po takich chatach siedzieć: biedować i harować, kiedy na świecie tyle bogactwa jest i do niego łatwym sposobem dojść można“. Ja jego kułakiem w plecy: „Ot tobie, mówię, łatwy sposób o złodziejstwie i paskudztwie niejakiem nie myśleć!“ A on do mnie: „Nie *biej*, tatku, bo ucieknę i tyle mnie zobaczycie!“ Za czapkę i do karczmy. Pić nauczył się. Wprzód nie pił, wiadomo, dziecko, co jemu 17 latek ledwie skończyło się. A tam i tego nauczył się. Upije się, bywało, i po całej wiosce *hawantury* dokazuje: z parobkami bije się, dziewczęta łapie... Ja do niego dobrym sposobem:

„czy tobie wstydu niema, Jaśku? czy ty Pana Boga nie boisz się?“ A on w śmiech: „ej, tatku, mówi, albo ja takie rzeczy widział? albo ja o takich nasłuchał się... tam będąc? Wy głupi, w swojej wiosce siedzicie i nic nie znacie, a ja teraz uczony!“ Oj, uczony on zrobił się, jak trzy lata w turmie pobyl, uczony! *Kab* tych *gubernierów*, co jego tam uczyli...

Przybyły śmiał się, cichym, długim, piersiowym śmiechem. Potem, głową trząść zaczął.

— Oj, panie gospodarzu, w wiosce swojej siedzicie, ziemię rękami swojemi drapiecie i nic nie znacie! Żebyście tych *gubernierów* zobaczyli i żebyście posłyszeli, jak oni waszego synka nauczali, toby was, panie gospodarzu, może z samego strachu paralusz naruszył... — Stary, żywym ruchem głowę podniósł i znów z taką uwagą, jak kilka razy przedtem, na przybyłego popatrzył. W głosie, jakim wymawiał on ostatnie słowa, były jakieś dźwięki, które o słuch jego ze szczególniejszą mocą uderzyły.

— *Sztoż hcto?* — wyrzekł powoli — albo ja was kiedyś znał, albo ja was nie znał?... *czysta odura!* Kto wy taki?

Ale w tej chwili przybyły zaniepokoił się i twarz odwrócił ku kominowi, dokoła którego coraz większy wszczynął się ruch i gwar. U ognia, ciągle podsyconego, zamiast dwóch kołowrotek Hanulki i Krystyny, które stały tam przedtem, znalazło się pięć. Dwie dziewczyny weszły już były wprzód i z kołowrotekami swemi po obu stronach Hanulki usiadły, a teraz, tylko co, przybyła jeszcze jedna, którą Aleksy żartami witał, a Krystyna uprzejmie zapraszała, ażeby usiadł przy niej. W chacie Mikuly rozpoczęła się zimowa, gwarna, długa wieczornica.

Przybyły, bystro na skupioną u ognia grupę ludzi popatrzył i znów zwrócił się ku staremu. Ale Mikula, ze wzrokiem utkwionym, z cybuszkiem w ustach, pogrążył się już w zwykłym sobie milczeniu. Z za dymu, ulatującego mu z ust i fajki, twarzy jego prawie widać nie było; czasem tylko głową kołysał, jakby myśl nad czemś wyteżał, jakby we wnętrzu swem mocno dziwił się czemuś. Nastula za to, coraz większą ochotę do rozmawiania z nieznanym okazała. W sposób tajemniczy i przez nikogo niepostrzeżony, butelka z trochę jeszcze wódki na dnie znalazła się tuż przy jej łokciu. Załzawionym jej oczom przybyło blasku, wyschłym rękoma żwawych i sprężystszych gestów. Jak w szczypcie, schwyciła w garść rękaw surduta przybyłego.

— To wy naszego Jaśka znali — i nie zawo-
dzając już, jak wprzód, ale prędko i cicho trzepać za-
częła: — pewno wtedy jego znali, jak przy budowa-
niu nowego dworu byli... Biednyż on, biedny! Na-
cierpiał się on, nacierpiał od rodzonego *baćka*, nim
na wieczne czasy w świat sobie poszedł...

Oczami ku staremu Mikule rzuciła i głos zni-
żając, tajemniczo ciągnęła dalej:

— Bił! jak tego psa, bił własnymi rękami, ki-
jem, czem popadło... *Kab* ja z tego miejsca nie
wstała, kiedy śgę... Jak pierwej pobłażał i hołubił,
tak później, kiedy biedulek z turmy powrócił, bił...
Za rozprowadanie o złodziejach, i za pijaństwo, i za
hultajstwo, za wszystko, bywało, bije, taj bije... „Ja
jemu, mówi, te paskudztwa, które on ztamąd po-
przynosił, z ciała i z duszy wybije!” Bywało, ma-
tka do jednej ręki jemu przyczepi się, a ja do dru-
giej i krzyczym: „oj, nie męcz ty, Szymonie, ro-

dzonogo dziecka, grzechu na duszę nie bierz, bo jak do reszty w złość wpadnie, z chaty uciecze i duszę swoją zgubi!“ A on nas, jak te bulby z rąk pootrząsa i jak zwierz tylko sapie, taj mruży: „Będzie jemu bieda odemnie, oj będzie kiedysciś bieda, jeżeli nie poprawi się! Ubiję, a łotrem na wieki zostać nie pozwolę!“ I z drugimi synami już inaczej zaczął... I dla drugich już srogości nabrał: „Pobłażał ja starszemu, mówi, i ot na jakiego on wykierował się... młodszym już pobłażania żadnego odemnie nie będzie.“ Oj, piekłoż, piekło zrobiło się wtenczas w chacie... Matka, bywało, płacze, płacze, aż w niemocy legnie, *baćko* jak ten zwierz rozjuszony, tylko za Jaśkiem oczami wodzi, żeby go na czym złapać i karać, młodsze chłopcy, jak te zające, ze stulonemi uszami chodzą, a Jasiak nieborak cierpiał i cierpiał, jak ta trzaska wysechł, jak ta chmura zasepił się i już, zdaje się, troszkę spokojności i upamiętania przychodzić na niego zaczął... Upokorzył się przed ojcem, upokorzył się przed rodzonym, słuchać zaczął... aż tu raptem, wziął taj uciekł... Nie wytrzymał *taki* i uciekł!... Może on od ręki ojcowskiej, co nad jego młodością zlitowania nie miała, uciekł... Może on od *naboru*, znaczy, od tego, żeby go w soldaty nie wzięli, uciekł... Może jego kto *taki*, z kim on w turmie zaznajomił się, namówił... wziął, taj uciekł... i oczy nasze już jego, mileńkiego, nigdy nie widziały, i uszy nasze jego głosiku, *srybniźkiego*, nigdy nie słyszały... Matka po nim płakała, i siostra płakała, Maryśka starsza, Hanuli jeszcze na świecie nie było i zdaje się po ścianach tej chaty, chatynki jego rodzonej, lezki po nim ciekły... tylko *baćko* o nim nigdy ani zagadał, nigdy nie zlitował się, synka swe-

go rodzonego, najstarszego nigdy nie pożałował... taki on już srogi!

Trudno byłoby powiedzieć napewno, czy przybyły słuchał lub nie słuchał, tajemniczej, tej śpiewnie zawadzonej gadaniny wespół pijanej baby. Łokciem o stół oparty, na długiej kościstej ręce głowę oparł o powieki i przymknął... Możliwość myśleć, że zdrzymał że i przykre mary tułały się po jego uspio-nym mózgu, bo wargi jego wydeły się tak, że rudawe wąsy ostrą kępą sterczały mu pośród twarzy. Wtem, niespodzianie, ramię ku butelce wyciągnął i zbliżywszy ją do ust, resztę znajdującego się w niej trunku parą chciwemi łykami połknął. Ze stukiem butelkę na stole stawiając, zaśmiał się i drwiąco na babę popatrzył.

— Oj, ty głupia babulo! jeżeli ani razu nie pożałował, to czemuż najstarszego wnuka Jaśkiem nazwał? A? *musi* kiedy najstarszy wnuk na świat przyszedł, on o najstarszym synku swoim wspominał? A?

Mikuła ocknął się z zamyślenia, fajkę nieco od ust oddalił, całym swem wielkiem ciałem pochylił się ku gościowi, a prawą rękę do czoła podniósł.

— W imię Ojca... i Syna... — zaszeptał. Ale gość powstał, stołek, na którym siedział ze stukiem odsunął i szerokimi krokami ku przeciwległej ścianie odszedłszy, w cieniu, przy karmiącej dziecko Jelenie usiadł. W tej samej chwili drzwi rozwarły się i zamknęły z trzaskiem, do izby wpadła dziewczyna wysoka, barczysta, zdyszana, z ospowatą, rozognioną od szybkiego biegu twarzą i kołowrotek u progu postawiwszy, krzyknęła:

— Ratujcie! *dzieuczata*, kiedy Boga kochacie, ratujcie, chłopcy *iduć!* — Za oknem dały się sly-

szeć głośne tupania, śmiechy, hukania. Ktoś po szybie zabębnił i w ścianę kijem uderzył. Dziewczyny z wizgiem, z krzykiem, ze śmiechem pozrywały się z siedzeń i ku drzwiom się rzuciły.

— O Jezu! zamykajcie drzwi! zamykajcie! nie puszczajcie! zaraz len palić i głupstwa wygadywać będą! ludzie! ratujcie! rozbójników tych nie puszczajcie!

Murem przed drzwiami stanęły, zamykający je skobel z całych sił przytrzymując. Jedna zapalone polano z komina schwyła i z niem, jak z gorejącą chorągwią, w obronnej postawie stanęła; druga wiadro pełne wody ku ziemi chyliła, trzecia zydel przyciągnęła i drzwi nim przywaliła. Potrzebą odparcia napastników przejęły się tak silnie, że naprawdę strach ich ogarnął. Głosy ich stawały się coraz piśkliwsze; Hanulka, czerwona od natężenia, z jakim skobel przyciskała, drzeć zaczynała. Dwie dziewczynki, z których starsza zaledwie dziesięcioletnią była, obudzone krzykiem, jak kłódki zsunęły się z wysokiego pieca i starszym dopomagając, najwięcej sprawiały hałasu. Bose ich stopy jak motyle migotały pomiędzy kraciastymi spódnicami dziewcząt, frendzle płowych włosów podnosiły się, to opadały na białe koszule i od snu zaróżowione twarze. Ale najgłośniej ze wszystkich krzyczała i najszerzej suchemi, lecz sprężystemi ramionami rozmachiwała stara Nastula. Przemocą wbiła się w gromadę dziewcząt i ku drzwiom się parła.

— Puszczajcie! — krzyczała — a *hetoż* jaka moda, żeby chłopców na wieczernicę nie puszcząć? A jakże to wieczernica, kiedy na niej chłopców niema? A za co wy ich karzecie? a za co wy ich nieboraków na mrozie trzymacie?

Hanulkę odepchnęła, drzwi naościęz rozwarła i w boki się wzięwszy, ku ciemnej sieni zawołała:

— *Chadźcie, chłopcy!* Nu, *chutko chadźcie!*

Sienie napełniły się ciężkim tupotem; w drzwi wtłoczyło się czterech młodych parobków. Dziewczyna, polano zapalone w rękę trzymająca, na inną zawołała:

— *Ułana, lej wodę!* Kiedy Boga kochasz, lej!

Ogromna, ospowata Ułana wiadro ku ziemi przychyliła; woda szeroką strugą rozlała się po podłodze z gliny ubitej. Ale dla napastników nie było to żadną przeszkodą. Ze stukiem zydel przewrócili, a jeden z nich z rąk uciekającej dziewczyny wydzierał płonące polano.

— *Aj! ludzie!* — krzyczała — *ratujcie ludzi!*

— *A będziesz mówiła: lej! a będziesz do złego namawiała?*

W mgnieniu oka do pierwszej z brzegu kądzieli płomień przytknął. Len prysnął iskrami, prząśnica, jak zapalona świeca, zajaśniała. Wielka Ułana wybuchnęła głośnym płaczem. Płonący len do niej należał.

— *Oj, żeby was Pan Bóg za moją szkodę pokarał! żeby wy...*

— *A będziesz lać wodę? A będziesz wodę pod nogi lać ludziom?* — z płaczącą drażnili się chłopcy.

Bednarz i Aleksy w parę sekund ogień w prząśnicy rękami zgasili; Krystyna pocieszała skrzywdzoną, po nową kądziel dla niej do bokówki idąc. Pocieszyła się też natychmiast i tak, jak inne, za kołowrotkiem usiadła.

Nastula drzwi zamknęła, bo zimno z sieni szło do izby. Chłopcy, z których jedni byli w kożuchach,

inni w siwych siermięgach, a wszyscy w ciężkich, wysokich butach, teraz dopiero przed gospodarzem domu się skłonili.

— Dobry wieczór! — chórem huknęli.

Nie odpowiedział. Czyżby zdrzemał? Wszyscy jednak wiedzieli, że stary Mikula ospałym nie był, że długie gwarne wieczornice lubił i uprzejmie na pozdrowienie gości odpowiadał, a czasem nawet, choć rzadko, grubym śmiechem wtórzył swawolom młodzieży. Dziś milczał. Ręka z fajką u piersi mu zawisa i wszystkie fałdy wielkiego czoła w dół się osunęły, ciężką chmurą wisząc nad krzaczastymi brwiami. Spał, czy dumał? gniewał się, czy wspominał? Chłopcy do komina odeszli i za dziewczętami stanawszy, papierosy zapalali; Nastula znów na przewróconych nieckach usiadła i gadała, gadała, suchymi ramionami rozmachując; kołowrotki zaturkotały chórem, hucznie, nad ich turkotem szumne, wesołe wzniosły się rozmowy. W izbie zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

U ściany przeciwległej tej, pod którą siedział stary Mikula w cieniu, na zydlu, u którego końca, przy samych już prawie drzwiach stała beczulka, woń kwaszonej kapusty wydająca, toczyła się rozmowa, turkotem kołowrotek i gwarem wesołych głosów głuszona. Przybyły siedział tam obok Jelenki, która żadnego udziału w napełniających izbę swawolach i żartach nie biorąc, karmiła, a potem na rękach kołysała swe paromiesięczne dziecko.

— Wesołe u was wieczornice — zaczął.

— A wesołe — odpowiedziała.

— Dawno wyszłaś za Aleksego?

— A już na przysłego Piotra cztery lata będzie.

— A ileż teraz masz lat?

Uśmiechnęła się i wstydliwie głowę pochyliła.

— Czy ja wiem? *Musi* na Jerzego dwadzieścia skończyć...

— Phi! — gwizdnął gość — stara z ciebie kobietka. No, a dobrze ci tu żyć?

— Czemu nie dobrze? I bardzo dobrze, daj Boże, *każ tak do wieku było*.

— Aleksy dobry, a? nie bije?

Zarumieniała się.

— Jeszcze tego nie było — nieco gniewnie sarknęła.

— A lubi?

Teraz zachichotała zcicha i zamiast odpowiedzi, niemowlę głośno w czoło pocałowała.

— Chleb w chacie zawsze jest? — zapytał jeszcze.

— Chwała Bogu, jest. Jeszcze tego nie było, żeby chleba zabrakło. Czego niema, a chleb zawsze jest.

— Bednarz pewno dużo zarabia?

— A zarabia. I mój zarabia, i *baćko* zarabia... jak przy gospodarstwie roboty niema, z Jaśkiem ryby w rzece łapie i w miasteczku sprzedaje, wprzód sam jeden na ryby chodził, a teraz ze dwa już roki jak z Jaśkiem chodzi...

— Z Jaśkiem chodzi — powtórzył gość, w ziemię patrzeć zaczął i umilkł.

U komina, z turkotem kołowrotekó w i gwarem głosów zmieszały się chrzęsty rozkąsywanych orzechów i łuszczonych ziarn słonecznikowych. Chłopcy z za koszul wyjmowali okrągłe *gnilki* i częstowali nimi dziewczęta; one drożyły się, przysuwane im pod same twarze garście z przysmakiem odpychały,

a potem, nie chcąc niby, przyjmowały, jadły i odwzajemniały się chłopcom, orzechy i ziarna na nich rzucając. Ile razy rzucony orzech ugodził kogo w czoło lub policzek, albo garść ziaren posypała się po czyim baranim kołnierzu, tyle razy z za kołowroteków wybuchały śmiechy. Jeden z parobków, za Hanulką wciąż stojący, najmniejszy w swawoli udział przyjmował, wciąż coś dziewczynie do ucha szepcząc. Wielka Ulana, między dziewczętami rej wiodąca, zawołała na niego, aby zagadkę jaką powiedział. Wiedzieli wszyscy, że nikt tyle i tak pięknych zagadek nie umie, co krępy Damian, z głową okrytą włosami tak czarnymi i kędzierzawymi, że zlewały się one prawie w jedną całość z czarnym baranym kołnierzem kozucha. W tej kruczej gęstwinie włosów czerwieniły się tylko tłuste policzki i świeciły czarne błyszczące oczy.

— Kiedy zagadki, to niechaj będą zagadki — na natarczywe wezwanie dziewcząt odpowiedział, wyprostował się, na całą izbę chrząknął, więcej jeszcze policzki wydał i z jedną ręką na kłębie opartą, zaczął:

Jedu, jedu,
Ni dorohi, ni sledu,
Konia biczom pohaniaju,
Na śmierć pohladaju.

Umilkł i wszyscy milczeli. Parę kołowroteków umilkło.

— No *szoż heto?* — kpiącym tonem zapytał mądry Damian.

Nikt słowa zagadki znaleźć nie umiał. Dziewczęta z zakłopotaniem ku sobie zerkały, chłopcy lekceważąco i żadnej niby wagi do nierozwiązalnej im

zagadki nie przywiązując, papicrosy palili i końcami nóg przytupywali. Damian, drugą ręką wziął się za boki.

— A toż czó!no! — wzgardliwym tonem wymówił.

— A prawda! — chórem zawołało kilka głosów i wszyscy, słowa zagadki powtarzając, zadziwili się.

— A - a - a - a! *jedu, jedu, ni dorohi, ni sledu.* . Wiadomo, na wodzie... *konia biczom pohanajaju...* zna czy wiosłem wodę... a - a - a! prawda! taki to czó!no!

— Czemuż ty Damian pocichu mnie nie powiedział, to jabym zgadła — półgłosem zagadła Hanulka.

— *Dobra*, to jeszcze jedną powiem. — Znów policzki wydał, chrząknął i zaczął:

Peten chlewiec,
Bietych owiec,
Ozdin baran bleje.

Skończywszy nachylił się, nibyto orzech z ziemi podniósł, a Hanulce w same ucho szepnął:

— Język!

— Język! — wśród powszechnego milczenia zawołała dziewczyna.

— A-a-a-a-a! — zadziwili się znów wszyscy — prawda! niema co! prawda! Ot rozumna! Taka młodziénka, a taka rozumna! Czy tylko tobie Damian nie powiedział? Pewno powiedział? *praudu skaży!*

Dziewczyna, jak piwonia czerwona, kryjąc się za kądziel, błagalnie ku mądremu parobkowi oczy wznosiła.

— Nie powiedziałem! — wykrzyknął Damian — *breszecie!* nic nie powiedziałem. — I jakby chciał burzę nowych zapytań od siebie i ulubionej dziewczyny odpędzić, zaraz dodał:

— Chcecie? to ja jeszcze jedną powiem!

Filuterny uśmiech rozsuwał tłuste jego policzki, z czarnych oczu śmiech tryskał:

Maleńkaja, czarnieńkaja,
Wsiu kołodu woroczaje.

— Nu *sztó heto?* — zapytał, garścią usta zakrywając.

Nastula w szerokim śmiechu bezzębne usta otworzyła i ramionami ku niemu zamachała:

— Oj, *kał ty skis* z zagadką taką! Oj, nie raz i nie dwa słyszała ja tę zagadkę! Toż to pchła!

Głosem duszonym przez garść, którą usta zakrywał, potwierdził:

— A toż pchła! — Czarne jak węgiel oczy nad wielką ręką błyszcząły, śmiały się, po chichoczących dziewczętach z tryumfem spoglądały. Drugą ręką pokryjomu obejmował kibić Hanulki, granatowym kaffanem ściśniętą.

Przybyły, obok milczącej Jelenki: siedząc, zagadek i towarzyszących im żartów słuchał ze szczególną pilnością i ciekawością. Dłonie na kolanach oparł i cały naprzód pochylony uśmiechać się zaczął, najprzód słabo i niewyraźnie, potem coraz szerzej i jakby rozkoszniej. Ile razy u komina wymówiono rozwiązanie jednej z zagadek, głową ruch potwierdzający czynił; komuś, ktoby na niego patrzył, zdawaćby się mogło, że wszystko, co mówiono, było mu dobrze znanem, tylko zapomnianem zostało i przypominało się teraz, przypominało natarczywie, rój wspomnień za sobą wiodąc. Nikt przecież w tej chwili uwagi na niego nie zwracał; wkrótce też i sam uśmiechać się przestał, na sąsiadkę znów spojrział.

— Czemuż ty tam nie idziesz bawić się ze wszystkimi? — zapytał.

Wraz z niemowlęciem kołysząc się to wtył, to naprzód, odpowiedziała:

— Nie chcę... niechaj sobie bawią się zdrowi!

— A mówiłaś, że dobrze ci żyć... to czegoś smutna? *Musi* Aleksy niedobry, a! pewno niedobry? *Musi* tak już w rodzie u nich, że wszyscy niedobrzy?

Z chciwą ciekawością w młodą kobietę oczy wlepił. Ona nie na niego, ale w przestrzeń patrząc i kołysać się nie przestając, odpowiedziała:

— Ej nie. I Aleksy dobry, i wszyscy dobrzy, tylko ja *nadto* Mikołajka mego odżalować nie mogę...

— Jakiego Mikołajka?

— A synka...

Tu cichym, ale śpiewnie zawodzącym głosem opowiadać zaczęła, że przed kilku miesiącami zmarł synek jej starszy, półtora roku mający. Takie to śliczne było dziecko. Chodził już, mówił, nie żart, jaki już był rozumny. Wszyscy po nim płakali, nawet dziadek, choć taki srogi, płakał, ale potem zapomnieli, nawet ojciec rodzony zapomniał. Ona tylko nijak zapomnieć nie może. Pochyliła się nad niemowlęciem i ciszej dokończyła:

— Wiadomo, dziecko, takie maleńkie, jak ta jagoda *skociło się* ze świata... jak ta kruszyna w ziemię wpadło...

Po okrągłym, różowym jej policzku płynęła duża łza i jak brylant błysnąwszy, na granatowy kaftan upadła.

W napelniającym izbę gwarze opowiadanie młodej matki wydawało się delikatną, nieśmiało brzę-

czącą struną; ła jej padła w śmiechy i hałasy, jak cicha kropla rosy w swawolne i szumne fale potoku. Na świeżą, jak poranek, zasmuconą twarz jej przybyły patrzył, patrzył szerzej niż zwykle otwartymi oczami i łzie jej przypatrywał się dopóty, dopóki nie przestała wilgotną plamką świecić na granatowem suknie kaftana. Coś widocznie dlań niezwykłego uderzyło go, zadziwiło, zbudziło w nim strunę jakąś trwożną, smętną, której dotąd nigdy może w sobie nie słyszał. Jak wichur gwałtowny i krótki, westchnienie pierś jego szeroką i zapadłą podnosiło:

— Ach, ach, ach!

Wzamian, z twarzy młodej matki smutek nagle zniknął. Ożywiła się ona i oczami, ku bawiącej się u komina gromadce spoglądającymi ciekawie, wesóło błysnęła.

— Oj — wykrzyknęła — bajki gadać będzie!... Nastula bajki gadać będzie...

Szybkim ruchem zwróciła się ku gościowi.

— Posłuchajcie tylko... może wy mileńkie, posłuchajcie! Ona ślicznie bajki gada, nie żart jakie śliczne...

Baba, u samej ziemi, na przewróconych nieckach siedząca, z pomiędzy dwóch kołowrotek wychylała pod światło ognia głowę w czerwonym, okrągłym czepku i mówić zaczynała. Wśród powszechnego milczenia, przy wtórze kołowrotek głos jej stary, przewlekły, szepleniący, rozchodził się po izbie:

— Było sobie trzech braci: dwóch rozumnych, a trzeci dureń. Powyrastali i żenić się im pora przyszła. *Bańko* ich pyta:

— Którego z was, synkowie, naprzód ożenić? Starszy mówi:

— Mnie, bo ja najstarszy.

Drugi mówi:

— I mnie, tatku, już pora.

A dureń także odzywa się:

— A i mnie już dawno byłaby pora.

— Nu—mówi *baćko*—idźcież wszyscy do lasu, a który najprędzej dużo jagód zbiera, tego ja pierwszego ożenię.

Poszli oni wszyscy do lasu i tak zbierają, tak zbierają jagody, że ani wyprostują się. Aby tylko prędzej nazbierać, zbierają i zbierają. Rozumni do durnia podeszli i pytają:

— A co, durniu, czy dużo jagód zebrałeś?

— Ej — mówi dureń — już ja zaraz i do domu sobie pójdę.

Pozazdrościli rozumni durniowi, wzięli zabili go, nóż w serce wsadzili...

— Aj!—jęknęło parę kobiecych głosów.

— Nu, nu, tak zaraz wzięli i zabili—niedowierzająco i z powagą bajce przesadę zarzucił jeden z parobków. Baba, z wyrazem głębokiego przekonania, głową trzęsąc, powtórzyła:

— Wzięli i zabili, nóż w serce wsadzili, w ziemię zakopali, piaskiem przysypali, zamiast krzyżyka nad głową zasadzili wiśnię i poszli do domu.

Aż tu tą samą drogą jedzie pan; zobaczył wiśnię i myśli sobie:

Wyrabię ja tę wiśnię i zrobię z niej dudkę.

Wyrabał wisienkę, zrobił z niej dudkę, jedzie sobie i gra, a ta dudka śpiewa:

Nie graj panoczku, nie graj,
Serduszka mego nie targaj,
Mnie bracia zabili,

Nóż w serduszko wbili,
 Czerepkim oczy nakryli,
 Piaseczkiem zasypali,
 Wisienkę zamiast krzyża zasadzili...

Dziwuje się ten pan, dziwuje się, a dudka proci i prosi, żeby on na niej nie grał.

— Aaa! — przerwało znów parę wykrzyków zdumienia.

— *Taki* śpiewała ta dudka, *taki* prosiła... nu!

Nastuli oczy, jak dwie srebrne iskry błyszcząły, zwiędłe wargi jej coraz więcej wyrazu przerażenia nabierały. Z łokciami, opartemi o kolana i rozwartemi w powietrzu rękami, prawila dalej:

— Przyjechał ten pan do tej wioski, gdzie durniowi bracia i ojciec żyli, zaskoczyła jego nocka. przyszedł on do nich i prosi, żeby jemu przenocować pozwolili. Pozwolili jemu przenocować, odprzągnął on konia, do chaty wszedł i do gospodarza mówi:

— Jechałem ja — mówi — przez taki i taki las, patrzę, aż stoi sobie wisienka, taka równa, *taj* wysoka. Ja tę wisienkę zrabiał i dudkę z niej zrobił, A żeby ty wiedział, jak ta dudka gra! Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ta dudka tak grała. Weź stary i pograj troszkę.

Wziął ten chłop dudkę, grać na niej zaczął, a ona śpiewa:

Nie graj tatulu, nie graj,
 Serduszka mego nie targaj,
 Mnie bracia zabili,
 Nóż w serce wsadzili,
 Czerepkim oczy nakryli,
 Piaseczkiem przysypali,
 Wisienkę zamiast krzyża zasadzili.

Zdziwił się stary i dał dudkę synom swoim, żeby oni na niej zagrali. Grają oni, a dudka śpiewa:

Nie grajcie braciszkanie, nie grajcie,
Serduszka mego nie targajcie,
Wyście to mnie zabili,
Czerepką oczy nakryli,
Piaseczkiem zasypali,
Wisienkę posadzili.

Wtenczas wszyscy domyślili się, że rozumni zabili durnia, na mogilkę poszli, piasek odgarnęli i wszystko tak znaleźli, jak dudka opowiedziała.

Wtedy tych braci do kancelaryi zabrali i do turmy wsadzili.

Baba mówić przestała, a nikt nie odzywał się jeszcze, kołowrotki obracały się powoli, powoli, a z ich osłabłym turkotem mieszały się od czasu do czasu wydawane głośnie westchnienia. Zdawało się, że z opowiedzianej bajki wypłynęły widma mordu i kary i niewidzialną chmurą w upalnym powietrzu tej izby zawisły. Jeden Aleksy, zawsze wesoly i butny, drwiąco uśmiechał się i na ucho Damianowi szeptał: — Ot zlekły się baby bajki! Nu, jaż im jeszcze lepszego strachu napędzę!

Wysunął się do sieni, a po dwóch minutach, z trzaskiem drzwi otwierając, na całą izbę krzyknął:

— Ratujcie ludzie! kto w Boga wierzy, ratujcie! Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! ot, ot, już przyszedł! z takim wielkim, ostrym nożem przyszedł! Hu, hu, hu, hu!

Dziewczęta wrzasnęły i pochowały się za kądziele; nawet Krystyna drgnęła i na dziewczynki u nóg jej siedzące trwożliwie spojrzała; Jasek krzyknął przeraźliwie i schował się za szerokie plecy oj-

ca. Mężczyźni, z których paru przelekło się też zrazu, wkrótce poznali się na żarcie i śmiechem huknęli. Uspokoilo to i kobiety. Poważna Krystyna w gniew wpadła.

— *Nie durujś* Aleksy! — na mężowskiego brata krzyknęła—ochota ludzi straszyć! Wstydź się!

Ale popłoch nie zaraz ustał. Snać wszyscy obecni dnia tego o Bąku słyszeli; parobcy z jarmarku przywieźli o nim opowiadania straszne; nasłuchały się ich kobiety. Hanulka ręką serce przyciskała.

— Bije, oj, jak bije i uspokoić się nie może!—jęczała.

Wielka Ulana kroplisty pot z czoła ocierała.

Wszystkie wyrzekały.

— Oj, *kaś* ciebie Aleksy... żeby takiego straszego człowieka wśród nocy wspominać... jeszcze, nie daj Boże czego, i wywróżysz! jeszcze i naprawdę kiedy przyjdzie...

— A przyjdzie! Z takim wielkim, ostrym nożem, przyjdzie!—zażartował jeszcze młody chłop.

— Aj!—krzyknęło znów parę głosów.

— *Hodzi!* — stanowczo wymówiła Krystyna i w silniejszy ruch kołowrotek swój puszczając, dołała—ot, zaśpiewajmy lepiej.

Głos miała piękny, rozległy, poważny, jak cała jej postać; wiedzieli wszyscy, że choć od szesnastu już lat mężatką była, śpiewać lubiła bardzo. Równą, długą nić powoli snując z kądzieli, rozgłośnie, poważnie zawiódła.

„Oj woły moje, da połowyje,
Czemuż wy nie oreacie,
Oj, leta moje, leta molodzieńkie,
Czemu wy marnie idziecie...”

Chór głosów różnych: srebrnych i czystych, piskliwych i fałszywych, zgodnie przecież podjął:

„*Kab* wołom moim da pasza była.
To jeny pooralib,
Kab letom moim, da rozkosz była,
To jeny pohulalib...”

Wielką, przewleklą, wzdymającą się, to opadającą falą płynęła pieśń w dusznym powietrzu izby, kołowrotki jej wtórowały równym, ale powolnym i przyciszonym turkotem; złotawo w blaskach ognia lśniły z kądzieli snujące się nici i błyskały, czasem brzękały na piersiach dziewcząt różnobarwne sznury paciorek. Nad dziewczętami wiły się i w komin ulaływały błękitne dymy papierosów, połyskujące w ciemności, jak nadpowietrzne iskry, i z cienia wyglądały czerwone policzki, kudłate głowy, rozpromienione oczy parobków. Z obu stron Krystyny dwie dziewczynki przysiadły na ziemi i nagie nogi daleko pod blask ognia wysuwając, głowy okryte płowemi frendzlami na kolana matki opuściły. Czerwony czepiec Nastuli kołysał się w obie strony, aż opadł na krawędź kominu. Baba usnęła.

Ale właśnie w tej chwili stary chłop samotnie i w milczeniu u ściany siedzący, powieki podniósł. Zdawaćby się mogło, że z głębin jakichś, jemu tylko znanych, fale pieśni na powierzchnię życia go wyniosły. Podniósł powieki i z osłupiałą uporczywością wpatrzył się w przeciwległy punkt izby. Przed chwilą, gdy Aleksy, z hałasem drzwi otwierając, huknął: Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! gość obok Jelenki siedzący zatrzęsł się całym ciałem i jak miną podrzucony, zerwał się z miejsca. Wprzód bajki przez Nastulę opowiadanej słuchał z większem jeszcze wyteżeniem

uwagi, niż wprzódę zagadek, jak w tęczę wpatrywał się w babę, uśmiechając się, czasem oczami radośnie błyskając. Wykrzyk chłopca wyrwał go z zasłuchania i nakształt iskry elektrycznej, zatrząsł całym jego rosl'em, lecz chudem i wyniszczonem ciałem. Porwał się z miejsca, kij swój, który pomiędzy kolanami trzymał, w rękę mocno ścisnął i ku drzwiom się rzucił. Ale prawie zaraz wybuchnął śmiech parobków, oznajmiający, że słowa Aleksego obecni za żart poczytali. Przybyły zatrzymał się i do odejścia wciąż się mając, chwilę jeszcze zmaconemi oczami po izbie wodził. Na ściany, na sufit, na komin blaskiem ognia buchający patrzył i patrzył, aż wzrokiem spotkał u ściany siedzącą, nieruchomą postać starca. Powoli w dół ku ziemi opuszczając się zaczął. Za beczułką, na glinianej podłodze przysiadł, widać było, że tylko na chwilę przysiadł, kij w obu spuszczonej rękach trzymając. Całe ciało jego ukryło się za beczułką, z za której tylko stalową iskrą pobłyskiwało okucie jego kija i nad którą wznosiła się jego głowa. Na tę głowę spojrział Mikula powieki wznosząc i nie odrywał już od nich osłupiałych oczu. W padającym na nią z koina ukośnym szlaku światła, półcieniem otoczona, głowa ta wydawała się zawieszoną w powietrzu i uporczywie, nieruchomo na starego Mikulę patrzyła. Stary rękę do czoła podniósł i gwałtownie zaszeptał:

— W imię Ojca i Syna...

Potem ręka jego powoli w dół osuwać się zaczęła, palce, jakby władzy pozbawione, rozwierały się, sztywniały, aż fajka wysunęła się z nich i na ziemię upadła. On tego nie spostrzegł.

— Jezu Chryste! — zaszeptał znów i cały, na-

przód pochylony, patrzył na twarz, która z przeciwległej strony izby na niego patrzyła i coraz podobniejszą stawała się do maski tragicznej, chudej, wynędzniałej, kośćmi policzków pod zapadłymi skrońmi sterczącej, żalością niezmierną, niby wewnętrznym lkanieniem, wstrząsanej. Wykrzywione jej usta były silnie zawarte, a jednak przemawiała ona, wyraźnie do starego przemawiała: „Tatulu, czy poznajecie mnie? oj, tatulu, przypomnijcie sobie, jaki ja kiedyś był, i zobaczcie, jaki ja teraz!”

— Jezu Chryste najmiłosierniejszy, zmiłuj się nad nami! — szeptał stary.

U komina przewlekle, chóralnie rozlegała się strofa pieśni:

„Wzajdzi miesiaczeńku,
Jak mlinowoje koło,
Wyjdz dzieuczyno, serce jedynicńkie,
Perehowory do mieni słowo...”

Twarz, z nad bezczułki wyglądająca, w powietrzu jakby zawieszona, do starego przemawiała, wyraźnie przemawiała: „Pamiętasz ty, tatulu, oj, czy pamiętasz ten dzionek letni, słoneczny, kiedy ty na górę wchodził, sieć z rybami na plecach niosąc, a ja za tobą bosy biegł i skakał po piasku, z radości tak krzycząc, że aż rozlegało się po wiosce i między sosny, nad mogiłki, dzwonekami leciało? Pamiętasz tatulu, oj, czy pamiętasz?...”

U komina pieśń z wtórem kołowroteków wzmacniała się coraz i rosła, zdawało się, że ściany chaty rozsadała:

„Jak mnie do ciebie wyjści,
Do ciebie howoryci,
Koli ludzie śmiejujsia,
Szto mnie z toboju nie życi...”

Głowa nad beczką, w powietrzu jakby zawieszona, powoli trząść się zaczęła, powiekami ku staremu Mikule mrugając. „Nie żyć mnie z tobą, tatku, nie żyć mnie w tej chacie, gdzie chleba nigdy nie brakuje i ludzie w zgodzie żyją, czasem na wesole wieczornice schodząc się i weseląc. Przypadkiem ja tu zaszedł, sam nie wiedząc gdzie idę, byle dalej zajść i uciec od tego, co mnie z tyłu goni, oj, tak goni, że aż mnie skóra na plecach cierpie, to piecze... Przypadkiem ja tu przyszedł i nie wytrzymał, taj do chaty zaszedł, ale mnie tu nie żyć... Zaraz wstanę, taj pójdę, bo grzechów dużo na świecie popelniłem, ażeby za nie żadnej pokuty nie było, nie *możno* tatku... ty sam powiedział i osądził, że nie *możno*...”

Ku trzęsącej się nad beczką głowie głowa staro także trząść się zaczęła. Zdawało się, że odpowiada, powtarza:

— Nie *możno*, synku, nijak nie *możno*!

Nagle wyprostował się stary, lecz silny Mikula, ogromną żylastą rękę po oczach przesunął i gwałtownym szeptem zaklął:

— To i zgiń, przepadnij, kiedy taki... Pfuj, maro z tamtego świata! jaka nieczysta siła ciebie po świecie wodzi? Zgiń, przepadnij! Szerokiemi plecami do izby się zwrócił, a do ściany twarzą tak ponurą i groźną, jak gromowa chmura.

— Zgiń i przepadaj, kiedy taki — powtórzył. O chropowatą ścianę oparł wielkie, wyłysiałe, w sto fałd i zmarszczek wyrzeźbione czoło. Nic już wiedzieć nie chciał.

Izbę napelniał teraz wesoly, swawolny śpiew:

„U polu krynica,
 U jej woda saczytsia,
 Mołodyj mołojczyk,
 Wielki ladauczycia
 Robić on nie chce,
 Ani pracowaci,
 Tylko pić, hulaci,
 Dzieuki namawłaci“.

Tym razem kobiety śpiewały same, parobcy nie tylko nie wtórzyli im, jak wprzód, basowemi, oderwanemi nutami, ale nawet śpiewania ich nie słuchali. Czy obrażały ich zawarte w pieśni żarty „z młodego mołojczyka?” Czy ważniejsza od śpiewów sprawa do głowy im przyszła? Skupili się w ścisłą gromadę, szeptali o czemś pomiędzy sobą, czasem urywane słowa wykrzykiwali. Nagle pieśń urwała się w połowie strofy, jak wstęga nożem przecięta, a w ciszy, która zalegała izbę, rozległ się śmiały, butny głos Aleksego:

— A paszport, panie, masz? Pokaż, panie, paszport, niechaj my wiemy, kto ty taki!

Stary Mikula znów twarzą zwrócił się ku izbie i z wielkimi dłońmi, o kolana opartemi siedział jak struna wyprostowany, z pod ciężkiej chmury zmarszczek na to, co działo się u drzwi izby, patrzący. U samych prawie drzwi izby sześciu mężczyzn otoczyło beczkę, nad którą przed kilku minutami wznosiła się sama jedna głowa przybyłego. Na czele gromadki Aleksy w rozpiętym kożuchu, z zapalonym papierosem w ustach i głową butnie podniesioną do przybyłego przemawiał.

Inni mu wtórzyli.

— Paszport pokażcie... teraz bez paszportu nikomu nie można włóczyć się po świecie...

— Może ty Bóg wie kto — grubo i posępnie krzyknął bednarz — a my odpowiadać za to będziemy, że ciebie nie złapali...

— Może ty ten Bąk, którego za niewinną krew ludzką ścigają! — przenosząc głosem innych, zawołał mądry Damian. Nie darmo nazwano go mądrym Damianem: on pierwszy przed chwilą, spojrzawszy na siedzącego za beczką gościa, nową jakby zagadkę Aleksemu i bednarzowi szepnął:

— Może to Bąk!

Z za beczki zerwał się człowiek groźny, z okiem rozbłysłem wściekłością ściganego zwierzęcia, z rozdętymi nozdrzami, ze srogim przekleństwem na ustach. Zerwał się, kij swój żelazem okuty podniósł i szeroko nim zamachnąwszy, ku drzwiom poskoczył. Ale w mgnieniu oka parobcy za ramiona go pochwycili.

Rozległy się hałaśliwe krzyki:

— To ty taki! Zamiast paszportu, kij nam pokazujesz! ho! ho! dobry ty *musi* ptaszek...

— Bąk, pewno Bąk... łapajcie, trzymajcie!

— Trzymajcie, ludzie, kiedy Boga kochacie, nie puszczajcie!

Przerażone dziewczęta, na podobieństwo owiec, zbiły się u komina w niemą od trwogi gromadkę: wielka Ulana na piec nawet ze strachu lazła, dwie małe dziewczynki do ziemi przypadły i twarze schowały w spódnicy matki, która przed ogniem stanęła, ramiona u piersi skrzyżowała i ciemnymi, zamysłonymi oczami na odgrywającą się u drzwi scenę patrzyła. Stara Nastula tylko nie widziała i nie słyszała nic; z głową o krawędź komina opartą spała, od czasu do czasu coś przez sen pomrukując i pośpiewując.

U drzwi walciono. Chwytanego nie łatwo było pochwycić. Silny, choć chudy, sprężysty, z członkami do walki snąc wyćwiczonemi, wydzierał się on chwytającym go rąkom, łokciami i nogami napastników uderzając. Wzmagało to ich zaciętość. Łajali i klęli. Nakoniec Aleksy pierwszy, potem bednarz, najzaciętsi lub najsilniejsi, pochwycili go tak silnie i zręcznie, że żadnego już poruszenia uczynić nie mógł.

— Postronków! — zawołali — hej baby! postronków dawajcie!

Ale Krystyna ramion nie rozplotła. Patrzyła, patrzyła, a zamyślonę jej oczy zdawały się powtarzać:

— *Taki i tego* kiedyś matka na rękach swoich nosiła i kołysała!

Od krawędzi komina dygocący głos uśpionej baby zanucił:

„Nie grajcie braciszkwie, nie grajcie,
Serduzka mego nie targajcie...“

A z pomiędzy gromady chłopów głos pokorny, błagalny, od trwogi dygocący przemawiał:

— Puście mię ludzie, jeżeli Boga w sercach macie, jeżeli zbawienia duszy żądacie, puście. Ja wam nic złego nie zrobię, pójdę ztąd, zaraz pójdę, na wieczne czasy z oczu wam przepadnę, tylko puście, oj, puście...

Parobcy zaśmiali się szydersko, groźnie i dalej o postronki do bab wołali, ale starego Mikulę dygocący, błagalny głos, który pośród gromady parobków przemawiał, nakształt czarodziejskiej siły z ławy podniósł. Jak wysoki stanął, rękami zamachał, usta otworzył i nic nie powiedziawszy, z otwartemi usty,

znów na ławę opadł. U krawędzi komina śpiąca baba zanucila:

„Nie graj, tatulu, nie graj,
Serduszka mego nie targaj,
Braciszkwie mnie zabili...”

Aleksy do sieni, zapewne po postronki, których kobiety nie podawały, skoczył. Chwytny zaszamotoł się znów i wychylił nieco z pomiędzy otaczających go postaci i ramion. Zmalały był, skurczony, plecy poruszały się i głowa wtulała w ramiona tak, jakby już skóra jego kurczyła się i drgała pod uderzeniami pletni. Struga bladłości trupiej spadła mu na twarz, nieopisana męka wykrzywiła usta i miotła skórę czoła, która to podnosiła się ku złotawym włosom, to opadała ku oczom biegającym i rozrzucającym dokoła błagalne spojrzenia. Wydawał się w tej chwili zbiornikiem najsroźszych cierpień świata: arcynędzarzem.

— Przypadkiem do was zaszedłem — zdyszczonym głosem mówił — przypadkiem, na godzinkę, bez żadnej złej myśli... byle odpocząć... i zaraz pójdę... pójdę... nic złego nie zrobię... tylko mię puście, jeżeli kroplę litości... jeżeli zbawienia duszy... puście... na rany Jezusa Pana... oj, ludzie!...

Krystyna teraz głośno wymówiła:

— A *taki* i *tego* kiedyś matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

A tuż prawie przy ziemi, senna baba śpiewnie mruzczała:

„Braciszkwie, mnie zabili,
Nóż w serce wsadzili...”

— *Hodzi!* — rozległ się po izbie głos wszystkie inne przenoszący, do rozkazywania nawykły.

— *Hodzi!* puszczajcie jego! rozstąpcie się i puszczajcie!

Mikuła wstał znów z ławy i już na nią jak wprzódy, nie opadł, ale ciężki, wielki w swem białem odzieniu, twardą taśmą przepasanem, prosty, choć z głową na pierś spuszczoną, ku środkowi izby postąpił.

— Puśćcie jego i rozstąpcie się! — powtórzył!

Po chwilowem zdumieniu i wahaniu rozstąpili się parobcy; jeden Aleksy, ze sznurami w ręku z sieni powracający, sprzeciwić się spróbował:

— *Heto Bąk, baćku!* jak Boga kocham, Bąk!

Ponuro spojrział nań stary.

— Milcz! — wymówił, a na stojącego przed nim ze zgarbionemi plecami człowieka wzrok pełen błyskawic podniósł:

— *Idzi* — rzekł — *idzi...*

Po chwilowej przerwie dokończył:

— *I bolsz nie hreszy!*

Ale ten nie szedł jeszcze, na starego patrzył, aż parę szerokich kroków uczynił, na ziemię runął i do wielkiej, bosej, pyłem okrytej stopy Mikuły ustami przyłgnał. Łzy jak groch toczyły się po policzkach starego. Prędkim ruchem za koszulę sięgnął, w ręku zaszeleściały mu papierki, ku leżącemu nachylił się i wyprostował się natychmiast.

— *Bolsz nie hreszy!* — powtórzył i z nalegaaniem, ze strachem jakby kilka razy wymówił:

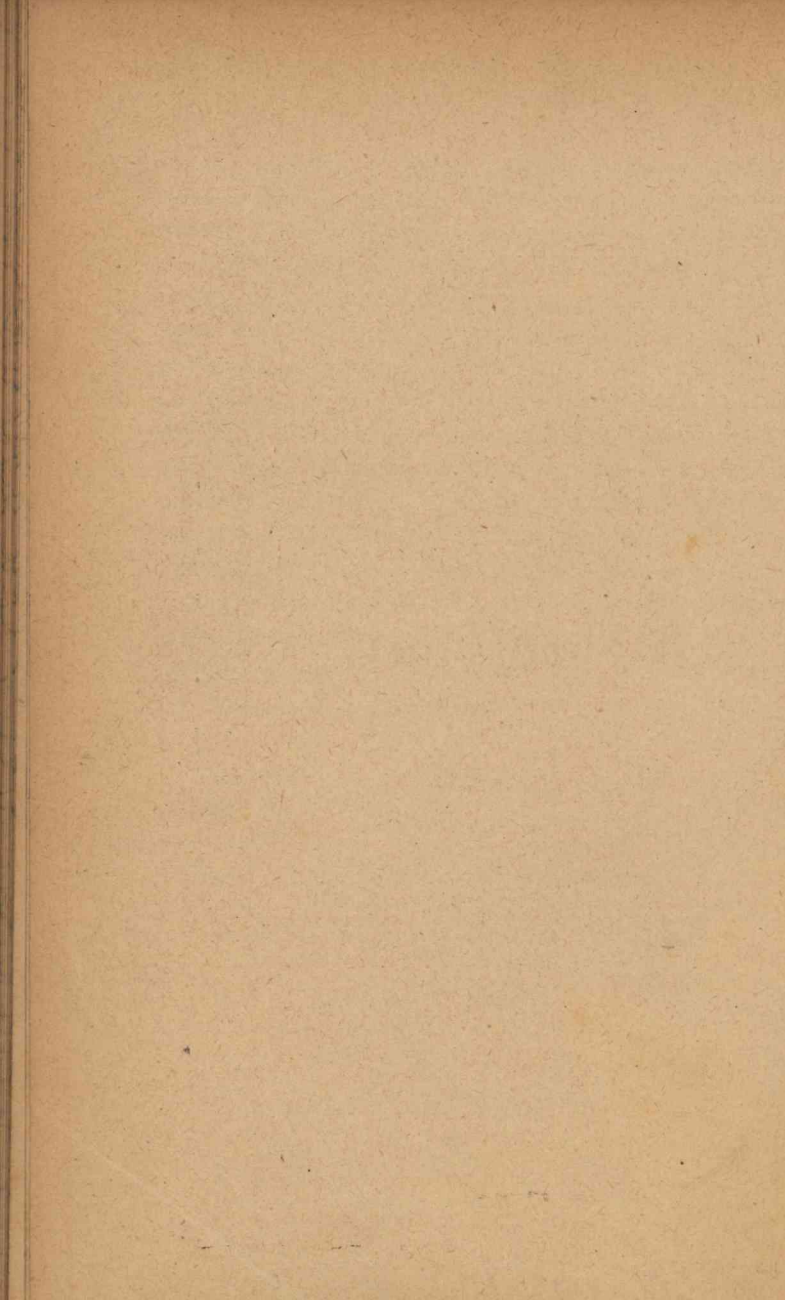
— *Idzi... idziże... chuczej idzi...*

Po sekundzie zaś, wielkie ręce splatając, dokończył szeptem:

— *Z Bohom!*

Na dworze było ciemno, niebo chmurami usłane nie świeciło ani jedną gwiazdą, wiatr posuwicie hasał, wirującymi słupy wzbijał się w górę, gamami szumów, jęków, gwizdań śpiewał w głębokiej kotlinie, na której dnie leżał szeroki szlak zamarzłej rzeki. Nizko, nad samym szlakiem rzeki szedł znów człowiek zupełnie samotny. Na tle mdlawej białości śniegu wydawał się on cienką linią, szybko przerzynającą grube, ale mniej od niej czarne ciemności. Wznoszące się ze stron obu wysokie ściany kotliny zmniejszały jego rozmiary. Możliwość myśleć, że był on nieskończoną małością, płynącą po morzu nieskończonej wielkości. Wielkie morza nocy i samotności obejmowały go dokoła; zbalwanione, szumiące wichry zdawały się niosą go po szerokim, dzikim, ponurem łonie natury, wobec której sił, groźb i ogromu był on kroplą, okruchem, ziarnem piasku, źdźbłem trawy, upadłem na dno przepaści...

Dobra Pani.



Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej i wylękle i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po ślizkiej posadzce, gotowe — stosownie do okoliczności — wybuchnąć płaczem, albo i śmiechem. Koralowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie szafirowe źrenice palily się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącemi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już już krzyknąć miała w niebogłosość zapewne, lecz nagle, wrażenie trwogi ustąpiło snąć przed uczuciem radości, bo gwałtownie wyrwając rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadzce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła: — Ciucia! ciucia! — Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pinczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłem i pi-skliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej, ogromnej jego sierści dwie malutkie czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem

zaznamiających się z sobą istot stanęła kobieta około 40-letnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzowa, schylona we dwoje, całowała białą jej rękę.

— Helka! czemuż wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie!

Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej, pełne ognia i czułości, z wyrazem zachwycenia tkwiły w twarzyczce dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz łyzy w szafirowych żrenicach i obydwoma rękami trzymała się spódnicy Janowej.

— Robiliśmy, wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi, grzeczności nie nauczyła się... Ot teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

— Sierota! — ze wzruszeniem powtórzyła p. Ewelina i pochylona nad dzieckiem, chciała zapewne wziąć jej w ramiona. Lecz, nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

— O! biedactwo! Jakże to ubrane! — zawołała — sukienka długa aż do ziemi...

Zaśmiała się.

— A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku splata war-kocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... pończoszek...

Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

— Panny Czernickiej! — rzekła krótko do zjawiającego się we drzwiach lokaja.

W mgnieniu oka, pośpiesznym bardzo krokiem

weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami, spiętymi z tyłu głowy wysokim szyldkretowym grzebieniem. Od progu bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko chmurnem wejrzeniem, lecz, gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wązkich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej.

— Moja Czernisiu, widzisz, to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... włosy... gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała rumieńców, możnaby ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi za model do cherubinka przedstawić... Przytem, sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych poczciwych ludzi... w takim smutnem domostwie... wilgotnem, ciemnem... Zaświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale, moja Czernisiu! trzeba ją wykapać, uczesać, ubrać... zmiłuj się! za godzinę, za dwie najdalej, niech mi to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechała się rozkosznie, ręce u pierśsi gestem zachwycenia splatała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wybornym. W wyborny też humor wpadła, chmurna i posępna u wejścia, panna służąca. Jak wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie naśladowując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością wielką, lecz starannie ukrywaną, pochwyciła Helkę w swe

suche, sprężyste ramiona, z nad ziemi uniosła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącemi pocałunkami okrywając, z salonu ją wyniosła. Pani Ewelina, rozpromieniona i od łez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną dobrocią jej ośmielona i także rozrzewniona, płakała i po raz wtóry opowiadała historię Helki, sieroty po krewniaku jej, tak samo, jak mąż jej, mularzu, który z rusztowania spadłszy, zabił się na śmierć, poczem prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza, rozrzewniły się do łez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła bardzo Janowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne a takie śliczne dziecko; Janowa, sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe i bez tego czerwone do krwistej barwy rękawem lustrynowego kaftana natarła. Skończyło się na tem, że mularzowa byłaby na klęczki przed panią Eweliną upadła, aby skraj sukni jej, ni by świętej, ucałować; lecz pani Ewelina powstrzymała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, poczem prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz Janowa zaśmiała się przez łzy rubasznie i wesoło.

— Dam ja im cukierki! — zawołała — albo to pańskie dzieci, żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już wielmożna pani tak łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Nakoniec pożegnały się. Janowa w powrocie do

chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napotkanymi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś, po odejściu Janowej, osunęła się na kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą. O czym myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promieniem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przez nią przybrana... O, jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyśpieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle napełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę lub w ciemną melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła i ubrała tego aniołka...

Tu zaduma p. Eweliny przerwana została przez dwie kosmate łapki, które, wspinając się na jej kolana, zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym gestem odtrąciła od siebie natrętnego pieska. On gniew jej wziął za wesole żarty. Zbyt długo snąć był kochanym, aby mózdz łatwo w odtrącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znów kosmate mi łapkami darł koronki i drapał atlasową rękę swej pani. Tym razem, poskoczyła z kanapki, zadzwoniła.

— Panny Czernickiej! — rzekła do zjawiającego się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni zawiniętymi po łokieć.

— Moja Czernisiu! weź, proszę Cię, Elfa i niech on tam przy tobie, w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech szczególnie. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf warknął, cofnął się i przed ujmującemi go kościstemi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale pani Ewelina usunęła go zlekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie, przez mgnienie oka, zatopiła w twarzy swej pani.

— Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... — szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

— Nieznośny! — powtarzała pani Ewelina i z gestem niechęci dodała: — nie pojmuję już, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

— O! on był kiedyś wcale innym!

— Nieprawdaż, Czernisiu, wcale innym. Był kiedyś prześlicznym... Ale teraz...

— Teraz zrobił się nudnym...

— Okropnie nudnym... Weź go do garderoby i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już u progu, gdy usłyszała znowu.

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przy-
milonym uśmiechem.

— Cóż tam z naszą małą?

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa, Paulina kąpać będzie Helkę...

— Panienkę! — od niechcienia przerwała pani Ewelina.

— Panienkę... Ja, kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

— Wiem, wiem...

— Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwiami, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko, proszę panią o koronki, wstążki i pieniądze na wszystko.

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atłasów, pełno było w szafach i komodach, napelniających sobą kilka pokojów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny. Czernicka dość długo otwierała i zamykała szafy i szuflady, nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem był w garderobie wielki gwar żartowego targowania się i kupowania; potem jeszcze spora część wyjętych z szaf i komód przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu, znikły w przepaścistym kufrze, stanowiącym osobistą własność panny służącej. Nakoniec, z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem, z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać, naprędce sporządzaną sukienkę. Nazajutrz dopiero krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś, panienka ta, wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosemi nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieścizot z Elfem, zapominać zdawała się o całym świecie.

O całym świecie też zapomniała utopiona w głę-

bokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nie już teraz nie przerywało. W obszernym salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i ponsowych adamaszków, panowała cisza głęboka. Przez w półotwarte portyery widać było kilka większych i mniejszych pokojów, pograżonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca, wnikając przez szczeliny zapuszczonych żaluzji, ślizgały się tu i owdzie po ścianach, kobiercach i złcoonych ramach obrazów. Z za okien dochodziły wonie rozkwitłych róż i świergoty ptactwa, w głębi domu, w sali jadalnej, z cicha pobrzękiwały ustawiane do wieczery naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej, myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnym, nie była nawet tak bogatą, aby mózdz zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały jej niekiedy i na czas pewien do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i obszernymi dobrami, posiadaniem przez nią w okolicach Ongrodu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione wydatki gospodarskie do poniesienia — a wszystko to odejmowało p. Ewelinie wszelką możliwość wyjechania za granicę, albo przynajmniej zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko już dwa lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkimi,

otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąca do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami sweimi, fortepianem, Czernisią i Elfem. Życie jej tu o tyle czyste było, o ile smutne, a jednak spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzieindziej. Tu nie wiedziała nawet, jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie, kiedy niekiedy, tym i owym, dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej, ani wypełniało czasu, ani zadowolnić mogło sumienia. Ona, w wielkich miastach przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowników duchownych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychy wysokich kamienic, w ciemne sutereny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami, w przedsionkach świątyń umieszczone i t. p. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynności, dręcząc ją, dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle w Ongrodzie uformowano tak zwane Towarzystwo dam dobroczynnych. Pani Ewelina, jako najmajątniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwana została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu

doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze, rozszącej je zazwyczaj, na widok nędz ludzkich, łzy litości i rozrzewnienia! O ucho jej obją się dziękczynne i błogosławiające wyrazy tych, pośród których zjawi się, niby anioł pomocy i pocieszenia! Stała na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukała. Szukając, zaszła wypadkiem do domostwa, zamieszkiwanego przez rodzinę mularza, i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie, bawiło się podobno z psem, czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty, oblane słońcem, które we włosach jej rozpałało ogniste błyski, czy może jeszcze, zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojnej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwiało w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba — dość, że odrazu wydało się jej niezwykłym, prześlicznym i że, gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co zjedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych, serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Janowę wyrazu: „sierota!“ łza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zapragnęła dziecka tego, zapragnęła go na wyłączną swą własność, z zapalem i mocą duszy namiętnej jak wulkan, a samotnej jak łódź, na burzliwych przestworach morza zbłąkana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i, zaprawdę, bez trudności! Teraz, kochając dziecię to, uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydłami, zadowolni sumienie swe,

rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz, gdzież ona jest, prześliczna dziecina ta? Gdzie jest ten zesłany przez Opatrzność, anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przyprowadza jej dotąd? Biedactwo! jeszcze pewnie nieubrane! Ale że umyte już i wykąpane, to pewna. Trzebaby pójść do pokoju Czernickiej, uścisnąć je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi, ze splecionymi u piersi rękami, stanęła. W drzwiach przeciwległych ukazała się Czernicka, prowadząca za rękę Helkę, ale jakże zmienioną! Jakąż metamorfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świetnego kolibra. Różowe wstążki, niby piórka, czy skrzydełka, pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki, obciążone pończoszkami delikatnymi jak sieć pajęcza, a niknącemi w malutkich błękitnych trzewiczkach; ogniste włosy utrefione, woniejące, trzymała w karchach opaska z szyldkretu. Strojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatującą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu z ustami znów do płaczu skrzywionemi, ze szczupłemi ramionami sztywnie, w obawie zgniecenia sukni, rozpostartemi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewiczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny, nieśmiałe i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła i pochwyciwszy ją w objęcia, teraz dopiero okrywać zaczęła gorącemi pocałunkami. Potem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z niem usiadła przy stole zastawionym piękną porcelaną i wybornemi przysmakami. W pół godziny potem Czernicka, wchodząc do jadalni, znalazła Helkę siedzącą na kolanach

nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość p. Eweliny prędko bardzo wlały w serce dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonemi, nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nieznanym jej dotąd przedmiotom, o nazwę ich pytając:

— Co to? pani, co to?

— Filiżanka—odpowiadała p. Ewelina.

— Fili-zian-ka...— z niejaką trudnością powtarzała Helka.

— A po francusku nazywa się to: *la tasse*.

— Tas, tass, tas-tas-tas! — szczebiotała Helka.

Kobieta i dziecko miały pozór istot zupełnie szczęśliwych. Czernicka ze swą szklanką herbaty, opuszczając jadalnię, uśmiechała się w sposób sobie właściwy, trochę szyderski, trochę smutny. — Takim był pierwszy dzień pobytu Helki w domu p. Eweliny, a po nim nastąpił długi szereg dni podobnych lub może, dla kobiety zarówno, jak dla dziecka, jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach po ładnym ogrodzie, willę otaczającym, od rana do wieczora prawie fruwała dziewczynka, do barwnego kolibra podobna. Drobne, wykwinicie obute jej stópki, obiegały po zwirowanych ścieżkach klomby napełnione kwiatami; złotemi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwała się nad niskimi grupami zieleni, jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szczebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazne sztachety, przedzielające ogród willi od zamiejskiej ulicy. Pani Ewelina, na obszernym i ozdobnym ganku siedząc, godzinami całemi zapominała o książce trzymanej w ręku, ściagała wzro-

kiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem łowiła każdy dźwięk szczebiotu jej i śmiechu, a czasem zbiegłszy ze wschodów ganku, zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całem sercem oddawać się zdawała, można było spostrzedz najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już jednak niemłodej kobiecie. Policzki jej rumieniły się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziecięcej. Gomitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję pani Eweliny, wzajemnymi pieszczotami i długiem przesiadywaniem na kobiercu murawy, pośród kwiatów, z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznymi sztachetami na chodniku ulicy przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tem piękniejszą, że tłem jej był pałacyk, malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tem więcej rozrzewniającą, iż wiedziano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty, obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone, najsilniejsze wrażenie wywierały w białe, zimowe dnie, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką, całą w atłasach i ła będzich puchach i na tę kobietę w sobolach i aksamicie, zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży, wychylającej się ze śniegu, lecz jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekuńki? Nazywano ją poprostu: świętą! Taką opieką i miłością otoczyć dziecię obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Było to istotnie godnem uwielbienia. Uwiel-

biano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwiała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapalem porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wkoło niej tłum, z łoskotem na kolana padała i poczciwe błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego ołtarza, a rękawem świątecznej algierki łzę na czerwonej twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

— A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen.

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też i w nocy. Małe, rzeźbione z orzecha łóżko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łóżku p. Eweliny. Na niem, własnymi rękami opiekunki swej rozebrana i w batystową nocną koszulkę przyobleczona, na webowej, haftami okrytej pościeli, Helka usypiała codziennie cichym, uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. P. Ewelina, układając ją do snu, czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, poczem, gdy Czernicka układała kołdrę jej w malownicze draperye, mówiła:

— Jaka ona śliczna, Czernisiu!

— Jak aniołek — odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka, nie śpiąca jeszcze, rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy, przerywany wołaniem:

— Pani ślicznieszka! ślicznieszka! ślicznieszka!

— Co ona bredzi, Czernisiu! — z głębokim zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

— Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! — podziwiała Czernicka.

Przytem przez całe dnie i wieczory, w salonie,

W ogrodzie i w sypialni, odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycji pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło: po roku pobytu w domu swej opiekunki Helka płynnie już szczebiotała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitewek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka, spoglądając na nią, z podziwem do pani swej mawiała:

— Co to za ruchy! jaka gracya! możnaby, doprawdy, myśleć, że panienka urodziła się w pałacu!...

— Tak już ją Pan Bóg obdarzył, moja Czernisiu—odpowiadała p. Ewelina.

Co jednak p. Ewelinę najbardziej w dziecku tem zachwycało, to szczególny zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania, z namiętnością niemal graniczącego. Najlżejszą dysharmonię kolorów spostrzegła natychmiast, najlżejsza warstewka pyłu na posadzce dostrzeżona wstręt w niej budziła; wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne, jak te, o jakich marzyła. Pani Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

— Moja Czernisiu — mówiła — jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata! Mój Boże! żeby ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to małeństwo szczęśliwem było pod tem ślicznem niebem włoskiem, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury...

Marzenie zawiezienia Helki do Włoch wzmogło się w p. Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej talent, ale to widoczny i wielki talent śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat ośm i przebyła w domu p. Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę, tak prawie dużą jak ona, w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła. Nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła a Helka, z oczami utkwionemi w niebo, z rękami splecionemi u piersi, donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

„Le papillon s'envola.

La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la la...

Głosik jej był istotnie czystym i silnym. Istotnie też w gorąco kochanem i czule pieszczonem dziecku rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem się i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wznosiła się wysoko, a na ciemno — złotej rzęsie błysnęła łąza. Pani Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez

otwarte okno salonu, tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotonnie tętnił nad przepaścistym kufrem, z za firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swemi lub ci-chutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z salonu, zalatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszów. Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawianie: f, g, h, i f. d.; niekiedy gama dziecinnego śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych, albo przyciszona odległością dało się słyszeć dziecinne śpiewanie:

„La rose blanche s'effeuilla.

La la la la la la la...”

Na jasnym tle obfitego światła lampy postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej, na miękkim, ładnym podnóżku, w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami obciągnięte, i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materyi. Szyła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcyi muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go zlekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:

— Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś?

Wkrótce potem spełniło się pragnienie pani Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę; powiozła do Włoch swoją

Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni willa p. Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znów. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swemi zwierciadłami i ponsowemi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały zcicha szkła i porcelany, p. Ewelina siedziała w salonie zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna. Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka, siedząc na podłodze garderoby, otwierała kufry podróżne, wydając z nich niezliczone przedmioty, do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc dokoła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei paniencie i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie, Helka dosięgła wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonijnej kształtów ich nadwierzającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasze, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwierzzył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedzierać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa, uwiadomiona o powrocie pani i pa

nienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód malej krewniacze swej, a potem rzeczom jej, wydobywanym z dwu oddzielnych tłomoków. Przysiadła na ziemi obok Helenki, która pokazywała jej i tłómaczyła wszystko.

— Drugi kapelusz... — wykrzykiwała — trzeci... czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kapeluszków?

— Tyle, ciotko, ile sukienek — tłómaczyła Helka — do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

— Co to za pudło?

— To neseser podróżny...

— Na cóż to?

— Jakto, na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki, a w nich wszystko, co potrzeba do mycia się, czesania i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

— Jezus Marya! i to wszystko twoje?

— A moje! Pani ma taki sam neseser większy, a ja mniejszy...

W tej chwili Czernicka wydobywała z tłomoka lalki różnej wielkości; jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam prześliczne ptaki, jakby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto połyskujące i t. p. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej nappełniły się smutkiem.

— Mój Boże! — szepnęła z westchnieniem — żeby to moje dzieciaki choć zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzyła na nią chwilę, zamyśliła się, potem żywo rzuciła się do swych zabawek i łachmanków, z ferworem wielkim, niektóre z nich Janowej ofiarowując.

— Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki, a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonijka... do niej tylko dotknąć się trzeba, a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha... Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki, a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa, z oczami pełnemi łez, pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą ręką swą po atlasowej twarzyczce jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi, rzekła:

— Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem, wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

— Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie: wielkim, czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzewnionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując, jak wesoła i zwinna kotka, kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

— To dla Marylki—woła— a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to, ciotko... dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

— Tutaj tak zimno! — nadąsanemi usteczkami wymówiła — we Włoszech daleko piękniej i milej... tam ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy

pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzyma-
my... pewno znów pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch,
ciepły paltocik, ale Helka wyrwała się z rąk jej.

— Aj! — zawołała — jak ja długo już pani nie
widziałam; pójdę do pani! Adieu, ciotko!

I rzuciwszy rączką całusa Janowej, pobiegła
w podskokach, nucąc donośnie:

— Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mo-
jej złotej... do mojej najmiłszej...

— Jak ona kocha swoją dobrodziejkę! — zwró-
ciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego p. Ewelina, opłynięta zwojami
białego peniuaru, siedziała przed gotowalnią smutna
i tęskna. Helka w rzeźbionem łożeczku swem, w pół
zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko
już usypiała; na gotowalni dwie świece dopalały się
w wysokich lichtarzach; za fotelem p. Eweliny stała
Czernicka, rozczesując i do nocnego spoczynku ukła-
dając krucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po
chwili milczenia p. Ewelina ozwała się:

— Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

— Jakież? z czem? — tonem pełnym czulej troskli-
wości zapytała panna służąca.

Po krótkiej chwili wahania p. Ewelina słabym
głosem odpowiedziała:

— Z Helą!

Dość długo potem milczały obie. Czernicka
zwolna, lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwa-
bistych włosach. Twarz jej, odbijająca się w zwier-
ciedle gotowalni, okryta była wyrazem zamyślenia.
Po chwili ozwała się:

— Panienska... rośnie.

— Rośnie, moja Czernisiu... i trzebaby już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... nie pojmuję, co uczynię?

Czernicka znów milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

— Jaka to szkoda, że panienka nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

P. Ewelina westchnęła także.

— To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

— Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienkę...

— Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci.

— To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak takiej już dużej dziewczyny pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

— Panience trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

— Doprawdy? rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesła, gdy ją czesałaś... ale dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz stać się może nieznośnym... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że.... będzie złośnicą....

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą, schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem ozwała się jeszcze:

— Może pani w tych dniach będzie miała gości...

— Gości! jakichże, moja Czernisiu? kogo?

— Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencyi i który potem przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy pani Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

— Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on prześlicznie? Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przysięgła przedtem oczy błysnęły.

— A jaki piękny! — szepnęła Czernicka.

— Nieprawdaż? o! ci Włosi! jeśli który z nich pięknym jest, to już pięknym — jak marzenie...

Powolnym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotowalnię od łóżka, a gdy była już rozebraną i gdy Czernicka układała kołdrę w malownicze fałdy i draperye, marzącym głosem mówić zaczęła:

— Moja Czernisiu! zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżyć... tak jak ty to umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie...

Przez wiele następnych wieczorów pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowalni krótkie i urywane rozmowy:

— Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje.

— Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak ładną, jak była...

-- Staje się całkiem niezgrabną... Nie pojmuję, z kąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie...

— Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

— Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze...

Nazajutrz jednak twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowalni leżał woniejący liścik, z Włoch przybyły.

— Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

— Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z za granicy pani ciągle taka smutna...

— O! moja Czernisiu, czegożbym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wечно nie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

— Hela naprzykład... Co to było za śliczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

— Od powrotu naszego z za granicy panienka ciągle nadasana jakoś... czy smutna...

— Gdzietam smutna! Czegożby ona smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle, jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczem innym nie zajmować się, jak tylko tem dzieckiem...

— Pani przyzwyczała panienkę do swej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła swoje Czernicka.

W samej rzeczy Hela była smutną, ale zarazem i dała się straszliwie. Wypieszczona i oddawna

samemi tylko rozkosznymi wrażeniami pojone jej nerwy, rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała teraz w niebogłosey prawie, tupiała nóżkami, ścisnęła piąstki — ledwie że nie biła Czernickiej. Kiedy p. Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na pieśczołliwe jej szczebioty, albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu, na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcząc do samej siebie gniewne monologi, zalewała się łzami. Poczem oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały p. Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złośnicą i widocznie szpetnieje. Czasem przychodziło jej na myśl robić coś na złość swej zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwrócić na siebie znów jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionemi w książkę, w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnemi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły, obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia taka, wykonana przez wychowankę jej, wywołałaby wesoły śmiech p. Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecie Helka była daleko mniej zabawną, a p. Ewelina zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karciała surowemi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. Wtedy Helka, rozplakana i drżąca, padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy, wyszeptując długie namiętne litanie najczulszych nazw.

— Moja droga — mówiła — moja złota... moja najmiłsza... proszę... proszę...

I ze wzniesionemi oczami, ze splecionemi rękami, klęcząc, milkła. Czuła, głęboko i boleśnie czuła, że chce o coś prosić, lecz o co i jak — nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych, dnia pewnego, lokaj, zjawiający się w drzwiach salonu, oznajmił gościa z włoskiem nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią, rozczulać się już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już już w objęcia swe pochwycić je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i śpiesznie podążyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty. Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku, z ożywieniem wielkiem, z widocznem i zobopólnem pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, p. Ewelina, siedząc przy fortepianie, akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód — być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej, a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą, niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz, w tejże chwili, pani Ewelina usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno o muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizyognomii było spotkanie się oczu jej

z parą utkwionych w niej, szafirowych, jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych, oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia, spadającego na nią od fortepianu, wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym, upornie w jeden punkt skierowanym, była żalność i trwoga i prośba... I przez następnych dni parę, p. Ewelina i gość jej nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela, ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet niezłe mówiła po włosku.

Po paru dniach pani Ewelina, oczekując milego gościa swego, siedziała na kanapce, z czołem na dłoni wspartem, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czym myślała? O tem zapewne, że Bóg, w nieprzebranej dobroci swej, zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek, wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyśpieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle nappełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już już zastygnąć, zestarzeć, w martwą apatyę lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że w najgłębszej nawet niedoli, ufności w czu-

wanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu zaduma p. Eweliny przerwana została przez małe rączki, które, jak płatki śniegu, spadły na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i powścią-gając zniecierpliwienie, zlekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoły żart. Zbyt długo kochaną była, aby móżdż prędko w odtrącenie uwierzyć. Zaśmiała się zcicha, pieszczotliwie i znów, nieśmiało rączki topiąc w koronkach, próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem p. Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

— Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabnej ma-teryi w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło dyrygowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

— Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mnie...

— Panienska niegrzeczna!

Z temi słowami panna służąca schylała się nad dzieckiem, a po ustach jej wił się właściwy uśmieszek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; pierś zaś, ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem, drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumioną złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbiełałą twarzą stała nieruchoma jak słupek, przez chwilę bystro patrzyła w twarz swojej pani.

— Panienska zmieniła się...—wymówiła z wolna.

— Zmieniła się — powtórzyła pani Ewelina i wzdychając, z gestem najwyższego zniechęcenia dodała: — Nie pojmuję już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

— O! było ono kiedyś wcale inne!

— Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne... Była kiedyś prześliczna... ale teraz...

— Teraz zrobiła się nudna...

— Okropnie nudna... Weź ją i niech już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka, wyprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbieła Helę, w progu jeszcze usłyszała:

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przytulonym uśmiechem.

— Cóż tam z moją morową suknią? dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani... proszę tylko o klucz do materyj i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar, wiszący nad ogromnym kufrem, wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek, odstawiających łóżko panny służącej, bielą pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole, obok maszyny do szycia paliła się lampa, a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej, na ładnym podnóżku siedziała Hela, piastując na kolanach swych uspiętego Elfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory,

lecz, gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone, płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiała w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny napastrzek zlekka jej dotykając, wymówiła:

— Słyszysz? pamiętasz! i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od dni paru pobladła i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu, oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

— Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? czegoż dziwisz się? Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła! Nie prędko to nastąpi. Żal mi cię trochę. Chcesz? to opowiem ci jedną długą, ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stołku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek, opowiadanych jej przez p. Ewelinę.

— Cicho, Elfku, cicho! no, nie śpij znowu! słuchaj! bajka będzie długa i ładna.

Czernicka, dziesiątą z kolei wykończoną karkardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, z pod brwi na rozweselone nieco dziecko spoglądała. Palce jej drżały trochę i wzrok pośpinał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc, zaczęła:

— Była sobie razu jednego, w szlacheckiej okolicy jednej, młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców, swoich pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnem niebem bożem i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesół. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec — sąsiad za żonę sobie upatrzył, gdy wtem, wypadkiem, zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pa-

ni zobaczyła młodą tę dziewczynę raz, w niedzielę, kiedy w świątecznem ubraniu niosła ona z lasu dzbanki poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za co? Nie wiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość, że dobra pani przyjechała ślicznym powozem przed chatę jej rodziców — i zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęście!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem i, rzuciwszy na stół jedenastą kokardę, rozpoczęła układanie dwunastej.

— Cóż dalej? co dalej? moja panno Czernicka, co dalej? — trzepotało się na stołeczku dziecię. Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka, dwojgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

— Dalej — było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez caluteńkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

— Co potem? co potem?

— Potem, zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż nakoniec, raz, wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i — poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazala ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swo-

ją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej **ks** i szczę...ście... Od lat dwunastu szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianemi i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki, a każdego wieczora urządza z kofdry jej gustowne draperye... Trzydzieści lat ma dopiero, a wygląda na starą kobietę... Wychudła, zczerniała i na oczy zapadać zaczyna... starość jej prędko przyjdzie i pamiętać o tem musi... o! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nie pamiętała, to dziś, czy jutro, kiedy dobra pani kogo innego zechce na miejscu jej w garderobie posadzić, wróciłyby musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmie wisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długi, szeleszczący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzód, a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzęsach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

— Ależ! — zawołała — wytrzeszczyłaś oczy tak, jakbyś mnie niemi pożreć chciała. I psisko to także wlepie we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

— Co było potem? — szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy odpowiedziała:

— Potem — był hrabia...

— A potem?...

— Wkrótce potem pani wyjechała do Paryża

i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę, blade-różową, z czerwonym dziobem...

Hela uczyniła żywe poruszenie.

— W Wiedniu... — zawołała — w jednym ogrodzie, jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

— Otóż to; — tamta papuga była jeszcze śliczniejszą od tych, które są w Wiedniu... Pani kupiła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej niż przez rok nie rozłączała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dziobek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory, Czernicka pyszną draperyę zawiesiła na poręczu krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły, materia wydawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał godzinę pierwszą, z salonu przypląnęły znów, milczące wprzód przez dobry kwadrans, a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się tony wiolonczeli i fortepianu.

— Co potem? Co było potem? — zaszemrał niecierpliwym i zarazem trwożnym szeptem dziecięcym.

Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

— Potem... nie pamiętam już dlaczego i jakim sposobem, papuga zrobiła się bardzo nudną... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

— Wiem! już wiem! — nagle zawołała Hela.

— Co wiesz?

— Koniec bajki.

— No, to powiedz.

— I piesek poszedł do garderoby...

— A potem?

— Potem, była dziewczynka...

— I cóż?

— Pani dziewczynkę kochała...

— A potem — wtrąciła Czernicka — spotkała jednego sławnego muzyka...

— I dziewczynka poszła do garderoby.

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy z nad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą, bardzo dziwnie wyglądającą. Była to mała, pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwiema strugami cichych, bujnych łez, zwolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które z za łez podnosiły się ku niej z niemem, bezdennem, zda się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znów kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

— No — rzekła — dość już bajek i płaczów i nocnego siedzenia... Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierającą się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające z za łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne, położyła go na jej kołdrze. Nachyliła się i suchemi wargami czoła jej dotknęła.

— No — rzekła — cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znów przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na świecie biał już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju p. Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy, całonocną pracą zmęczone, pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę p. Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobny gęsty deszcz marcowy bez najlżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczoru, w malutkiem, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny, dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi zczerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a zapełniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki, a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchliznę i wilgoć. Zresztą, stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzeseł z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczułka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca wążkie i niskie drzwiczki prowadziły do

malutkiej izdebki, będącej sypialnią właścicieli domu.

Teraz, w większej izbie zgromadzona rodzina mularza, zabierała się do jedzenia wieczerzy. Jan, krępy, silny człowiek, z głową nastrzępioną twardej jak sierść, a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i, zdjawszy mularski fartuch swój, gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaściwej głębi pieca rozpałała duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą, na tapczanie, siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje: chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki, od lat ośmiu do dziesięciu, bose, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosemi nogami dokazując, opowiadał im o przygodach swych, doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku już uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpałała ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej, oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa, nie było nikogo. Gdy jednak błysk płomienia oświetlił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący oświetlał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku, z pod-

winiętami nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej połyskiwały brązowe guziki, przyozdabiające niewielki, ale wykwintny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpały niekiedy wśród cienia gorąco—złote połyski. Raz biysnęło też wydobyte z kufierka, w srebro oprawione lusterko...

— Mamo! mamó! — zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek—Hela znów czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

— Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie — wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

— Elegantka! Lala! — dorzucił chłopiec — czy to jej, jak nam, w konwi myć się... umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzączkę... o! stłukę ja jej to lusterko, zobaczymy, co będzie!

I wszystko troje, z wielkim tętentem bosych nóg, rzucili się ku ciemnemu kąтови.

— Daj lusterko! daj! daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki, w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddały rozswawolonej gromadce lusterko w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz łupem tym jeszcze niezadowolone, ściągnęły z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dookoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądać poczęły zawierające

się w nim grzebienie, szczotki, szczoteczki, puste flakony od perfum i pudełka do mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyki i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprawiona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzała jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenił się i późno do szkoły poszedł. Potem, niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę, zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie, obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskoczyła do stołu, uczepiona spódnicy matki, krającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejrzała się.

— Heła! — zawołała — a ty, dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej, oświetlona w pełni, w sposób szczególny, jaskrawy, odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu, ląbedzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej długie, chude jej nogi w pół okryte łachmankami pończoch, pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej, z wieloma zapadłymi oczami, otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo snać włożoną kosztowną wstążką.

W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy temi dziećmi bosemi i w grubej odzieży, strój ten, jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów, okrywały ją w pół śmiesznem, w pół bolesnem piętnem głębokiej z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słysząc tylko było uderzenie łyżek o misę i mlaskanie pięciu gąb z wielkim smakiem zajadających zacierkę ze słoniną, przekąsywaną razowym chlebem. Hela jadła także, ale powoli, delikatnie i bardzo mało. Kilka razy poniosła do ust chleb i zacierkę i, położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho z rękami splecionemi na kolanach, wyprostowana na stołku swoim tak wysokim, że stopy jej w paryzkich podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

— Czemuż nie jesz więcej? — zwróciła się do niej Janowa.

— Dziękuję, już nie chcę—odpowiedziała i drżąc z zimna, otulała się, jak mogła, swoją za wążką dla niej i za krótką atlasową szubką.

— Czem to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem!—zauważyła Janowa—gdybym jej codziennie kawałek mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

— Et — flegmatycznie zauważył Jan — przywyknie kiedyś, przywyknie...

— A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzicci latają po dworze bosi i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tem niby to futerku, febra wciąż trzęsie...

— At—powtórzył Jan—przywyknie kiedyś...

— Pewno!—przytwardziła Janowa—ale ot tymczasem żal bierze patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię a herbatą ją napoję...

-- Tak trzeba — potwierdził mularz—przecież płacą nam za nią...

— Płacą, to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

— Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i zacierką. Kaśka przekomarzała się z nimi, jeść im przeszkadzając. Jan, otarłszy usta rękawem koszuli, począł rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilkomiesięczne dziecko. Janowa, która misę, łyżki i pół bochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Helę.

— Idź, pokołysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym, niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Helą, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracyi, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę, a po chwili miarowemu stukotowi biegunów kołyski wtórować zaczął słaby, lecz czysty i rzewnością nabrzmiały śpiew dziecinny. Innych piosenek, jak francuskie, nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyt rodzinę mularza, dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałem. I teraz także dzieci umilkły. Jan, obu łokciami rozparty na stole, i Janowa, myjąca naczynie przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce, miarowo stukały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny na przewlekłą melancholijną nutę wyśpiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola
 La rose blanche s'effeuilla.
 La la la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

— A! ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyckiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię, zawołał i oddał mi to...

Janowa grubemi palcami swemi, z widocznem i głębokiem uszanowaniem, wydobywała z koperty banknot dwudziestopięcio-rublowy, stanowiący połowę rocznej sumy, którą im p. Ewelina na utrzymanie i edukację Heli, aż do jej zupełnego dorostnięcia, wypłacać przyrzekła.

— No — zaczęła Janowa — przysłała jednak... chwala Bogu... myślałam, że...

Urwała, bo obok niej, przy stole, stanęła Hela. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kołyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącymi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już, ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

— Od pani — wołała — to od pani... czy... czy...
 Tchu jej brakło.

— Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znów na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

— Ej, ty głupi dzieciaku! gdzieby tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała ot pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znów pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją, odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemiała na ławie, z głową złożoną na kolanach ojca. Jan, biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

— Możeby to... schować dla niej... na dalsze czasy... Za dwadzieścia pięć rubli wyżyjemy dziecko, a te drugie niechby... składały się...

— Niechby składały się — brodę na rękę w zamyszeniu wspierając, odpowiedziała Janowa — tylko że widzisz, Janku, terazby ją oporządzić trochę trzeba...

— Jakto oporządzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć z sobą...

— Ach! garderoba! Dobre to było do pałacu, ale tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne... albo to ja mogę prać takie rzeczy jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kuferku same łachy zostały.

— Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi, tak jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

— Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: czego płaczesz? „koszula brudna!...” powiada, a myje się to, czesze się i kurczy po kątach przez całe dnie jak kotka...

— At — bębniąc palcami po stole, zakonkludował Jan — przywyknie...

Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłemi, przygasłemi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyślała się nad czemś głęboko; po chwili, stanowcze jakby postanowienie powziąwszy, odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni, wymknęła się z domostwa.. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już zwolna i chłodem przesywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej, brzegami znanych sobie dobrze uliczek, a potem ulicę Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami, zmęczona bardzo, przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zanosła się chrypliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa p. Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród! Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu, w głębi dziedzińca w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża, świecił ogień. Snać gotowano tam wieczerzę. Przed oficyną stróż rozrąbywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą, cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery głucho i miarowo tętniły w mgle deszczowej, z blaszanej rynny na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wązka struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo żwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym p. Ewelina przesiadywała zwykle całe dnie letnie. Teraz schody, ganek i okrażające go ławki pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po scho

dach, woda pluskała z pod jej paryzkich podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłosnym gestem wyciągnęła obie ręce. Z pod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli podobny, z zajadłem piskliwym szczekaniem rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu; bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana, a skomlać z radości, lizać począł twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

— Elfku mój! Elfku! piesku mój drogi, złoty, najmiłszy!

Tulili się do siebie i całowali wzajem.

— Elfku! a gdzie pani? gdzie pani? Niema pani naszej! niema! niema!

Wstała i psa niosąc w objęciu, zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

— Popatrzym przez okno, Elfku, zobaczym, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękała na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła z pod jej kolan. Nie uważała na to.

— Patrz, Elfku! patrz!

Podniosłe pieska i obok twarzy swej kosmaty pyszczek jego do szyby przycisnęła.

— Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak było... ponsowe franki takie piękne... a tam to duże lustro, przed którym pani ubierała mię czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać pokóji iadalny...

Umilkła; pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzedz mogła.

— Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... jak na nim wygodnie siedzieć... Bywało siądę i kołyszę się... kołyszę się... caluteńką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczył się niewygodną pozycją, wysunął się z pod jej ramienia i opadł na ławkę. Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

— Oj, Elfku! Elfku! i ty i ja... byliśmy tam niegdyś

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było prześlaknięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryzkimi podartymi bucikami nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

— Widzisz, Elfku, tam, gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układałyśmy bukiety. A pamiętasz ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abys tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce tak świeci... morze szafirowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna senność ogarniać ją zaczynała. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfa, usnęła. Na świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera stróża umilkła, w oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny gę-

sty deszcz wciąż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku, z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wązkie strumienie wody.

Okolo północy, dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz, z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i nie wiedzieć dlaczego, grubą rękę swą, z niechcenia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach swych dziewczynkę, która obudziwszy się, senna, splakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę, odrzucił precz śpiącego na piersi jej Elfa, który też w milczeniu poszedł znów pod ławkę i ciężko wzdychając, zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.

K O N I E C.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN





Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A18876



1000174389